JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
APTEKA GRABOWSKIEGO
Dział Wysyłki Leków
175, DRAYCOTT AVENUE LONDON S. W. 3
Tel.: KEN 0750
Wysyła wszelkie leki do Polski i innych krajów
W APTECE GRABOWSKIEGO
DOSTANIESZ WSZYSTKO DLA CHOREGO!

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

DANIEL ROPS
OD ABRAHAMA DO CHRYSTUSA
Cena z przesyłką 33/-
Do nabycia:
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VII. Nr 6/294

LONDYN, 8 LUTEGO 1953 R.

KS. JAN ROSTWOROWSKI, T.J.

NIEWIDZIALNY PRZEWODNIK

O ROZWOJU DOGMATU MYŚLI KILKA

Kiedy porównamy ze sobą z jednej strony wspaniale rozwinięty całokształt nauki wiary tak, jak ona dzisiaj głoszona jest w Kościele, z drugiej strony to najdawniejsze jej stadium, jakim było przepowiadanie pierwszej, po zgonie Apostołów, generacji pasterzy, musimy stwierdzić postęp wprost olbrzymi. Nie tylko sposób wyrażania prawd zawartych w objawieniu jest dziś bez porównania doskonalszy, nie tylko właściwa ich treść oraz wzajemne związki ujmowane są daleko ściślej, nie tylko rzeczy podane niegdyś luźnie łączą się teraz w jedną wielką myślową budowę, ale przede wszystkim powiększyła się treść nauki wiary o cały szereg prawd, które dawniej uchodziły jasnej świadomości, nie tylko wiernych, ale i najsłynniejszych mistrzów. Wystarczy wziąć do ręki, nie już podręcznik teologii, ale obszerniejszy katechizm naszych czasów, by przekonać się, że co najmniej dwie trzecie zawartych w nim zagadnień i pouczeń nie pojawiało się i nie mogło się pojawić w takich, jakie znamy, umysłach ludzi, choćby drugiego i trzeciego wieku. Była ta sama wiara, często przepełniona najżywszą miłością, ale przedmiot tej wiary miał się do tego, co dzisiaj wyznaje oświecony chrześcijanin mniej więcej tak, jak roślinka świeżo z ziarnka wyrosła do wielkiego, rozgałęzionego drzewa.

Postęp jest więc niezaprzeczony i ogromny. Ale czy można w tej sprawie poprzestać na samym stwierdzeniu faktu? Postęp w religii, nie stworzonej przez ludzi, ale podanej z góry przez objawienie jest, jak każdy pojmuje, rzeczą równie interesującą jak delikatną, bo wystawioną na możliwość różnych mylnych interpretacji. Toteż myśl teologiczna katolicka raz po raz powracała i powraca do palących ale trudnych zagadnień: dlaczego ten postęp się dokonywa, jakie prawa nim rządzą, jakie siły udział w nim biorą, do jakiego kresu rozwój ten zmierza?

Na doniosłe te pytania, dotykające w pewnej mierze samych podstaw naszej wiary, dawano już wiele odpowiedzi, po części zupełnie trafnych. Bardzo niepospolite a niekiedy i genialne umysły stawały na arenie głębokich nad tą sprawą dyskusji.

Czy jednak po tylu rozprawach wyjaśniono już wszystkie odnośne kwestie? Czy nie pozostały już żadne punkty, na które całkiem jasne światło dotychczas nie padło?

Chcąc przekonać się, jak ta rzecz obecnie się przedstawia, zacznijmy od streszczenia samych założeń niniejszego problemu.

Punktem wyjścia jest tu pewnik po wszystkie czasy uznawany w Kościele i stwierdzony wyraźnie jeszcze przez sobór Watykański, że objawienie tzw. publiczne, któremu chrześcijaństwo zawdzięcza cały „depozyt" czyli skarb wiary dla wszystkich czasów przeznaczonej, skończyło się nieodwołalnie ze śmiercią ostatniego Apostoła. Mogły być potem i istotnie miewały miejsce rozmaite objawienia prywatne, ale żadne z nich, choćby nawet przez Kościół uznane zostało za autentyczne, nie może wchodzić w skład tego zbioru prawd „raz podanego świętym" (Jud. 3), którego świadomie odrzucać, pod utratą zbawienia, nikomu nie wolno.

Z tego pierwszego założenia wynika, że cokolwiek i kiedykolwiek urząd nauczycielski Kościoła, czy przez usta Papieża, czy przez uchwałę powszechnego soboru, określi i poda wiernym jako dogmat obowiązującej wiary, musi być koniecznie zaczerpnięte z owego zasadniczego „depozytu" tj. że musi być jedynie wyjaśnieniem czy rozwinięciem prawdy od początku w nim zawartej.

I oto tutaj zaczynają się trudności. Jak mamy pojmować owo istnienie w pierwotnym depozycie prawd, które dopiero później, nieraz i po wielu wiekach miały stać się przedmiotem wyraźnej i świadomej wiary? Czy mamy sądzić, że one od początku istniały już subiektywnie w czyimkolwiek umyśle czy umysłach? Czy też przeciwnie, tego należy się trzymać, że choć zasadniczo w żadnym umyśle subiektywnie nie istniały, tkwiły o b i e k t y w n i e w tych pisanych źródłach czy żywych rzeczywistościach, które się na depozyt wiary apostolskiej składają?

Mając opowiedzieć się stanowczo, nie za pierwszą, ale za drugą alternatywą, musimy zaraz poddać krytyce pewne przeciwne poglądy.

Byli mianowicie teologowie, którzy nie mogli pojąć, żeby mogły istnieć w depozycie prawdy mające doczekać się kiedyś później dogmatycznego określenia, jeśliby nie były przez jakieś umysły poznane. Jedni, i to bardzo liczni, sądzili, że przynajmniej Apostołowie po zesłaniu Ducha Świętego, mieli wyraźną znajomość całej sumy dogmatów, do końca wieków określić się mających. Inni, przynajmniej w szczegółowych wypadkach żądali podobnej świadomości, już to dla jakichś wybitnych umysłów, już też częściej dla ogólnie i jakby nieosobowo pojętego Kościoła.

Otóż, co się tyczy Apostołów, jest rzeczą niewątpliwą, że mieli daną sobie wysoką znajomość przeróżnych tajemnic Bożych w stopniu niedościgłym przez jakichkolwiek Doktorów Kościoła czy teologów. Ale były to jakby jasnowidzenia pewnych stron objawionej prawdy, a nie systematyczne poznanie jej całości. Wiemy np. że Apostołowie łącznie z Piotrem a prócz jednego św. Pawła, przez szereg lat nie pojmują rzeczy tak zasadniczej, jak ta, że stary zakon się skończył i że jego obrzędy nie są nieodzowne dla przyjęcia chrześcijaństwa. Wiemy, jak brzmi ich przepis, dany po pierwszym soborze, nawracającym się poganom: „Zdało się Duchowi Świętemu i nam, aby nie nakładać na was więcej ciężaru nad to, co konieczne, abyście się powstrzymywali od rzeczy bałwanom ofiarowanych i od krwi i od rzeczy dławionych i od porubstwa. Strzegąc się tych rzeczy dobrze uczynicie" (Dz Ap 15, 28 n). Czy nie jest widoczne, że w umysłach, które taki przepis wydają, mimo najgłębszych i najwyższych rozumień, nie ma jeszcze owej przypisywanej im dokładnej znajomości wszystkich szczegółów nauki wiary i praktyk chrześcijańskiego życia? A zresztą, przypuściwszy, że Apostołom znane były wszystkie artykuły wiary, które kiedykolwiek miały być określone w Kościele, w jaki sposób to ma ułatwić zrozumienie ewolucji owych dogmatów, jeśli tej swojej wiedzy nikomu nie udzielili? Że zaś istotnie jej nie udzielili, to jest najzupełniej jasne z wielkiej a nieraz gwałtownej różnicy poglądów w pewnych kwestiach, które doczekały się potem dogmatycznego określenia. Gdyby istniało co do tych kwestii tradycją przekazane apostolskie słowo, owa różnica zdań byłaby u wiernych synów Kościoła zupełnie niemożliwa, bo takie słowo miało zawsze bezapelacyjne i rozstrzygające znaczenie.

Co dotyczy aktualnej znajomości wszystkich lub niektórych nie określonych jeszcze dogmatów w poapostolskich czasach, przypisywanie jej jakiemuś Kościołowi nieosobowo pojętemu jest najpierw oczywistą fikcją, bo Kościoł nauczający wiary istnieje tylko w konkretnych ludziach, a po wtóre jest to niepotrzebne, bo sobór Watykański, opierając się na znanym tekście Wincentego z Lerinum, przyjmuje bez wahania postęp w rozumieniu prawd wiary, nie tylko u pojedyńczych ludzi, ale w c a ł y m Kościele. „Niech więc rośnie i bardzo, owszem jak najżywiej postępuje przez czasy i wieki rozumienie, wiedza, mądrość, tak poszczególnych ludzi jak wszystkich, tak jednostek, jak c a ł e g o K o ś c i o ł a, ale zawsze w jednym i tym samym sposobie, tj. w tej samej wierze, w tym samym znaczeniu i pojęciu (ss. 3. Denz. Banw. Enchiridion symb. 1800).

Podobnie naucza św. Augustyn, że nie tylko przed pojedyńczymi Biskupami, ale i przed Kościołem otwierają się zbiorową pracą drzwi rozumienia pewnych prawd objawionych i że dlatego, tak prowincjonalne synody jak powszechne sobory niejednokrotnie uzupełniały orzeczenia poprzednich (De Baptismo II. 3, 4).

Nie wdając się już w inne, najzupełniej przekonywujące dowody, możemy bezpiecznie stwierdzić, co następuje: Choć mogły być w Kościele i były po wszystkie czasy umysły, które bądź to genialną intuicją, bądź jakimś przeczuciem głęboko katolickiego serca, wybiegały wiarą swoją naprzód, wierząc już osobiście w to, co jeszcze, jako artykuł wiary nie istniało w świadomości owczesnego nauczającego Kościoła, nie można z tych izolowanych wypadków wnosić, że każda mająca kiedyś podpaść pod nieomylne określenie prawda, a tym mniej cała tych prawd suma, m u s i a ł a koniecznie żyć w p o z n a n i u jakiegokolwiek umysłu czy umysłów. Kiedy więc mówimy, że wszystkie prawdy mające aż do końca świata otrzymać charakter określonych dogmatów wiary m u s i a ł y od początku zawierać się w pierwotnym depozycie, pojmujemy zasadniczo ten depozyt, nie w s u b i e k t y w n y m lecz w o b i e k t y w n y m sensie.

Zachodzi z kolei najważniejsze pytanie, jak można i trzeba pojmować tak owo istnienie w depozycie przyszłych dogmatów wiary, jak procesu poznawczego, zapomocą którego w pewnym czasie wychodzą na światło.

Rzecz zupełnie jasna, że nie można tu myśleć o istnieniu w depozycie przyszłych dogmatów w formie jasnych i precyzyjnie wyrażonych twierdzeń np. Maryja jest Matką Bożą, Chrystus ma dwie natury w jednej Boskiej osobie itp. Gdyby przyszłe dogmaty istniały w depozycie z tą jasnością, nie byłoby potrzeba całych wieków a nieraz i gwałtownych sporów, by je na jaw wydobyć. Stąd to św. Augustyn w przytoczonym powyżej i innych jeszcze miejscach, określa postęp dogmatyczny jako wydobywanie u k r y t e j prawdy „latentis veritatis".

Z tego samego powodu nie da się przyjąć poglądu wybitnego teologa tego wieku, Marin-Sola O. P., który twierdzi, że wydobywanie z depozytu prawd w nim ukrytych dokonywa się ścisłą dedukcją logiczną czyli sylogistyczną drogą. Przy pilnym badaniu depozytu odnajduje się w nim pewne zasady grające rolę większej i mniejszej przesłanki i nie pozostaje potem nic innego jak wyciągnąć konkluzję. Np.: Maryja jest Matką Bożą, Matce Bożej należy się Niepokalane Poczęcie, a zatem, itd. itd.

Niestety jednak rzecz nie jest tak prosta. Depozyt wiary nie składa się bynajmniej z jakichś abstrakcyjnych formuł gotowych do ujęcia w sylogizm. Wchodzi weń najpierw Pismo święte starego i nowego testamentu z całą, dobrze znaną teologom trudnością zupełnie pewnego określenia właściwych znaczeń wielu mniej jasnych tekstów, po wtóre wchodzą rozmaite praktyczne wskazówki, albo, i bez sformułowanych wskazówek, pewne sposoby postępowania w Kościele mniej lub więcej ogólnie od apostolskich czasów przyjęte. W tego rodzaju praktykach kryje się wprawdzie dogmatyczna idea, która poźniej wejdzie w skład określonej wiary, ale kryje się tak głęboko, że trzeba czegoś całkiem innego niż sylogizm, by ją z cienia wyprowadzic.

Dajmy przykład, jeden z wielu.

W miarę jak mnożyły się herezje i tworzyły swoje odrębne wyznaniowe ugrupowania stawało przed prawowiernymi pasterzami poważne zagadnienie, co robić z ludźmi pragnącymi przejść z herezji do Kościoła ale ochrzczonymi przez heretyków. Nie było co do tej kwestii jasnej i ogólnie przyjętej praktyki: w zachodnim Kościele, za wyjątkiem Afryki, chrztu udzielonego przez heretyków, o ile używali właściwej formy, nie powtarzano; w Małej Azji dwa synody w Ikonium i Synnadzie około 230 roku, nakazały chrzest powtarzać; w północnej Afryce, najpierw pod wpływem Tertuliana (De bapt. c. 15), potem św. Cypriana nie tylko weszła w zwyczaj praktyka powtórnego chrzczenia nawracających się, ale na dwóch synodach Kartagińskich w latach 255 i 256, przez uchwałę 70 biskupów otrzymała charakter lokalnego prawa. Proszony o uznanie tego dekretu Papież Stefan, kategorycznie odmówił: „Nihil innovetur nisi quod traditum est" — kazał trzymać się w tej sprawie podanej od dawna tradycji.

Tradycja, jak wspomnieliśmy, nie była zupełnie zdecydowana i jednolita a argumenty za powtarzaniem chrztu zdawały się oczywiste. Wszak św. Paweł nakazał heretyków unikać jak zarazy (Tit. 3, 10. 2. Tym. 2, 17), św. Jan zakazał nawet odzywać się do nich zwyczajnym „Ave" (II. 10 n), a tu miało się uznawać ważność chrztu przez nich udzielonego! Nie mógł tego pojąć św. Cyprian i zdawało się, że, wobec wzmagającej się walki z herezją, trzeba koniecznie sposób postępowania ujednostajnić i ewentualnie dawną praktykę poprawić. Zaczęły krążyć listy i poselstwa między Kartaginą a biskupami Małej Azji: z jednej strony gotowała się schizma, z drugiej — bez żadnych argumentów, tylko z powoływaniem się na rzekomą tradycję — grzmiały już w Rzymie groźby ekskomuniki na jednych i drugich biskupów.

Nie będziemy wdawać się w opis dalszego przebiegu sporu, tylko zapytamy, jakim to „sylogizmem" można było w tym wypadku określić która praktyka odpowiada istotnie depozytowi wiary? Trzeba było aż po 150 latach geniuszu św. Augustyna, żeby zrozumieć, że, wedle ewangelii, jeden tylko Chrystus jest w chrześcijaństwie prawdziwym, choć niewidzialnym chrzcicielem (Jan 1, 33. Mar 1, 8. Mat 3, 11. Łuk 3, 16). Byleby więc ludzki sprawca sakramentu chciał to uczynić, co Chrystus i Kościół Jego czyni, jeśli tylko używa formy i materii przez Zbawiciela przepisanej, chrzci ważnie, czy sam wierzy czy nie wierzy, czy jest świętym czy grzesznikiem.

Spróbowaliśmy pokazać na jednym przykładzie, że droga sylogistycznej dedukcji, choć może w jakichś rzadkich wypadkach mogłaby mieć zastosowanie, nie jest w żadnym razie normalną drogą, przez którą ukryte w depozycie prawdy dochodziłyby do jasnej świadomości Kościoła. Takich przykładów można by przytoczyć b. wiele. Posuńmy się jednak jeszcze o krok dalej.

Postawmy sobie pytanie, czy w ogóle w tym przechodzeniu prawd z cienia depozytu wiary w światło świadomego poznania musi odgrywać rolę ścisłe, chociażby nie sylogistyczne rozumowanie?

Że niekiedy miewa to miejsce, to jest niewątpliwe. Drogą rozumowania stwierdzono, że skoro człowiek Jezus dzięki jedności osobowej jest prawdziwym Bogiem, to Maryja, która Go zrodziła, jest rzeczywistą Matką Bożą, albo też, że Zbawiciel, mając dwie odrębne, choć osobowo złączone natury, musi mieć dwojaką, tym naturom właściwą działalność. Ale są też przeciwne i liczniejsze może przykłady. Czy na czysto intelektualnej drodze wydobyto z jakichś danych złożonych w depozycie wiary bezwzględną pewność, że Matka Boska została poczętą bez pierworodnej winy, albo że z ciałem została wzięta do nieba? Jeśliby istniały te wyraźne dowody, jak dałoby się to wytłumaczyć, że co do pierwszego z tych dogmatów najwięksi teologowie XIII wieku zajęli stanowisko zdecydowanie przeczące, a co do drugiego aż do naszych czasów trwały w Kościele wahania, czy mamy tu do czynienia z czymś absolutnie niewątpliwym?

Żeby z wielu przykładów choć jeden jeszcze przytoczyć, za pomocą jakiego rozumowania uznano za pewne, że wszystkie księgi św. z naszego obecnego kanonu mają jednakową dogmatyczną powagę? Wszak jeszcze w trakcie przygotowywania tekstu dekretów IV sesji Trydenckiego soboru znaczna część zebranych Ojców żądała, żeby wymienić w odnośnym dekrecie te księgi, które choć są natchnione, nie mają powagi ze wszech miar zupełnej. Uchylono wprawdzie ich wniosek, ale w tej tylko formie, że w braku jasnej pod tym względem tradycji, chociaż różnice między księgami świętymi niewątpliwie istnieją, nie wypada w obecnym położeniu Kościoła różnic tych szczegółowo zaznaczać. (Por. Concilium Tridentinum, t. I. Diaria, str. 31 i 38, t. V. Acta, str. 55). A jednak dzisiaj nikt już nie wątpi, że, choć są między księgami świętymi różnice co do większego lub mniejszego bogactwa prawd bezpośrednio zbawiennych, powagą słowa Bożego są one wszystkie zupełnie rowne.

Ale, jeżeli nie przyznamy rozumowaniu charakteru głównego czynnika rządzącego przechodzeniem dogmatów z cienia na światło, cóż nam jeszcze zostanie dla wytłumaczenia tego faktu powtarzającego się w rozmaitych odmianach przez cały ciąg historii kościelnej?

Co nam zostanie?... Zostanie coś tak prostego, a tak dziwnego zarazem, że przypomina się mimowoli to śliczne słowo Pana Jezusa: „Tak jest z królestwem Bożym, jak gdyby człowiek wrzucił nasienie w ziemię a spałby i wstawał w nocy i we dnie, a nasienie wschodziłoby i rosło, gdy on nie wie. Bo ziemia sama z siebie rodzi najpierw trawę, potem kłos, a potem ziarno w kłosie" (Mar 4, 26 nn).

Najpierw bowiem przypatrując się ewolucji dogmatów, nie abstrakcyjnie ale w konkretnych dziejach chrześcijańskiej myśli, dochodzi się do przekonania, że ten rozwój nie dokonywa się wedle żadnego przez człowieka wytkniętego planu. Raz kształtuje się taki artykuł wiary, raz znowu inny, raz prędko, raz powoli, raz w taki, raz znowu w inny sposób. Ani żaden z Apostołów, ani żaden Papież czy sobór powszechny czy Doktór Kościoła nie ustanawiał z góry kolejności rozwoju dogmatów i nie zarysował przyszłej jego drogi.

Pierwszy impuls do rozwojowego procesu wychodził zazwyczaj od jakiejś negacji. Potrącała ona czy w duszach pasterzy czy nawet w sercach prostych wiernych o jakieś przekonanie wiary, nie całkiem jeszcze sprecyzowanej i uświadomionej, ale głębokiej. Uderzenie to wywoływało w całym Kościele czy w jego cząstce jakby ból czy niepokój. I pod jego wpływem rozpoczynało się to, co miewa miejsce w każdym uszkodzonym organizmie fizycznym, rodził się spontaniczny wysiłek nie tylko to mający na celu, żeby zadaną ranę zasklepić, ale żeby okolice jej umocnić. Już to synody i sobory, już to wybitne indywidualności z łona hierarchii brały się do dzieła. Po jakimś okresie gorączkowej pracy i walki sprawa była skończona: dawna wiara przybrana już w kształty ścisłej formuły dogmatycznej wchodziła w skład niezdobytych murów broniących twierdzy katolickiej prawdy. Tak rozwijały się dogmaty chrystologiczne oraz artykuły wiary dotyczące Trójcy Przenajświętszej.

(Ciąg dalszy na str. 2)

SED CONTRA

POSTĘP

Ojców naszych karmili farmazoni mitem o postępie; a i dziś jeszcze niejeden z nich (farmazonów, nie ojców) ma usta pełne „postępu ludzkości". Zobaczymy więc jak z tym naprawdę jest.

Porządek astrofizyczny. Wszystko co o nim wiemy świadczy że, przynajmniej w tej chwili, żadnego postępu nie ma, ale, przeciwnie, cofanie się. Przez cofanie się rozumiem po prostu wzrost entropii: różnice poziomów energii zmniejszają się i jeśli tak dalej pójdzie, ustanie wszelki ruch, nadejdzie jakaś kosmiczna śmierć. Może być, że świat jest jak harmonijka, że Fantappié ma rację ze swoją syntropią. Ale to są tylko domysły. Wszystkie znane fakty świadczą nie o rozwoju, ale o powolnym zamieraniu świata.

Porządek biologiczny. W tej dziedzinie, przeciwnie, postęp jest zdaniem biologów oczywisty. Przez „postęp" rozumieją oni powstawanie organizmów coraz bardziej złożonych i coraz kunsztowniej przystosowanych do pełnienia najróżniejszych funkcji. Tak powiadają między innymi dwaj specjaliści z tej branży, do których mam zaufanie, profesor Portmann z Bazylei i profesor Kaelin z Fryburga, obaj ludzie rzetelni i uczeni, a przy tym chrześcijanie (chrześcijaninowi należy bardziej wierzyć, niż innym, bo on przyznaje się do ósmego przykazania, a inni nie zawsze).

Porządek historyczny. Wygląda tak, jak gdyby cała ta fantazja postępowa wylęgła się właśnie tutaj; ale dziś, o ile mogę się zorientować, poważni uczeni nie biorą jej już na serio. Coprawda myli się Marcel i inni czarno widzący filozofowie, którzy kraczą o ciągłym cofaniu się. Wielka historia, ta niepodwórkowa, patrząca szeroko poprzez kontynenty i wieki, mówi, że nie ma ani jednego, ani drugiego, ale coś jakby się w kółko kręciło. Jeśli chodzi na przykład o moralność, to mamy akurat dzisiaj piękną ilustrację tej tezy. Jeśli wolno własną uwagę do ich wniosków dorzucić, to mnie zawsze zastanawiało, że naprawdę ów wrzekomy postęp widoczny jest tylko w jednym: w naukach mniej lub więcej ścisłych. Pod tym względem, nie ma chyba wątpliwości. Otóż wydaje mi się, po pierwsze, że postęp jest tu bardziej ilościowy niż jakościowy: wiemy masę różnych rzeczy, ale czy je lepiej rozumiemy niż dawniejsi, to nie pewne. Wydaje mi się po drugie, że materiał doświadczalny jaki posiadamy jest diablo krótki — cztery wieki w najlepszym razie, a to jest żadna podstawa do prorokowania. Wydaje mi się wreszcie, po trzecie, że to może się niebawem urwać — najpierw dlatego, że, jak wiemy z historii, społeczeństwo które niesie naszą naukę musi się skończyć, a powtóre dlatego, że my od tej nauki, niestety, coraz bardziej głupiejemy i Bóg raczy wiedzieć, czy wytrzymamy długo, czy potrafimy nie tylko prowadzić postęp dalej, ale nawet utrzymać dotychczasowe zdobycze. Myślę więc, że, razem wziąwszy, ten pozorny wyjątek za wyjątek nie może uchodzić. Pozostaję przy tezie historyków: w tej dziedzinie nie ma postępu.

Więc skąd ta legenda o postępie? A no, powstała przez dwie ekstrapolacje: najpierw przeniesiono postęp z biologii na ludzkie sprawy, zapominając, tak sobie, że w biologii jednostką jest sto pokoleń, to jest, na ludzką skalę, trzy tysiące lat — prawie wszystko co znamy w historii. Następnie, zauważywszy, że nauki ścisłe się rozwijają od kilkunastu pokoleń, przeniesiono ten postęp na wszystkie czasy i na wszystkie dziedziny życia. Od tego, do jeszcze innej ekstrapolacji, na cały świat, był już tylko krok. Ten cudowny świat się rozwija, ziemia się rozwija, człowiek się rozwija, społeczeństwo się rozwija. Żyć nie umierać; nieszczęście tylko w tym, że to nieprawda: gadanie na wiatr, policzek zadany faktom. A faktów bić nie wypada, bo twarde.

Na zakończenie jedno pytanie: co mówi o tym chrześcijaństwo? Odpowiedź: nic. Święty Augustyn myślał o owym postępie na wszystkie strony (on zdaje się pierwszy) i, jak wiadomo, nic nie wymyślił. Chrześcijaństwo nie jest ani za, ani przeciw postępowi świata i ludzkości. Zajmuje się postępem jednostki ludzkiej i niczym więcej.

Czy wolno by więc prosić miłośników frazesów, aby raczyli sobie znaleźć coś lepszego? Bo jeśli jaki, skromny i relatywny postęp jest, to ten: że blagować o postępie już dziś nie wypada.

I.M.B.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

JUBILEUSZ PO JUBILEUSZU

Życie kulturalne Francji stoi nie tylko pod znakiem „festiwali" — moda ta, pod wielu względami pożyteczna, obejmuje w szybkim tempie cały świat — ale także ustawicznych rocznic i jubileuszów różnych wybitnych postaci, żyjących i zmarłych. Pod tym względem Francuzi wysunęli się przed inne narody; ma się wrażenie, że czując osłabienie polityczne swego kraju pragną to „zrekompensować" przez ustawiczne rewie jego twórczości kulturalnej, do czego jubileusze takie dają doskonałą sposobność.

Ostatnio czołowy francuski tygodnik literacki „Figaro Littéraire" poświęcił cały numer znanej pisarce Colette z okazji ukończenia przez nią 80 lat życia. Jej pełne imiona i nazwisko brzmią: Gabrielle - Sidonie Colette, znana jest jednak powszechnie jako Madame Colette i tym tylko nazwiskiem, bez dołączania imion, podpisuje swe książki. Jest obecnie prezeską (présidente) Akademii Goncourtów.

„Figaro Littéraire" zamieszcza liczne głosy i listy wybitnych pisarzy, skierowane do Colette z okazji jej jubileuszu. Do hołdów tych dołączyli się dwaj najwybitniejsi pisarze katoliccy Francji: Mauriac i Claudel.

„Cóż za pragnienie szczęścia u Colette! — pisze Mauriac. — Okrzyk Oskara Wilde'a i Gide'a: „Nie chcemy szczęścia — chcemy przyjemności!" jej nie odpowiada, gdyż szukała przyjemności związanych ze szczęściem... A oto, czego może nas nauczyć starość: przyjemności się skończyły, ale nie szczęście; oddala się burzliwa miłość, ale nie uczucie czułości; ciało, otchłań uciech staje się otchłanią cierpień, lecz nabiera tajemniczej wartości..."

Na mniejszą oczywiście skalę obchodzono niedawno w miejscowości Avon koło Fontainebleau 30-lecie zgonu pisarki angielskiej Katherine Mansfield, która zmarła w tej właśnie miejscowości. Przemówienia wygłosili merowie Fontainebleau i Avon, oraz przedstawiciel ambasady brytyjskiej. Wkrótce imieniem Katherine Mansfield nazwana będzie jedna z ulic w Avon.

„WSCHODNI PROBLEM". Pod tym dosyć osobliwym tytułem „Times Literary Supplement" z dnia 23 stycznia zamieszcza artykuł, poświęcony wydanej niedawno w Paryżu broszurze Czesława Miłosza „La Grande Tentation: Le Drame des Intellectuels dans les Démocraties Populaires". Autor artykułu przytacza za broszurą opis faz, jakie przechodzą pisarze w krajach „demokracji ludowych". W pierwszej fazie państwo otacza pisarzy względami i niczego w zamian od nich nie żąda; w drugiej domaga się już ono wzajemności w postaci małych usług i odtąd nacisk stale rośnie, doprowadzając do zupełnego podporządkowania pisarzy wymogom systemu.

Pisząc o tej „drugiej fazie" autor artykułu dodaje taką uwagę, charakterystyczną dla poglądów rozpowszechnionych na Zachodzie na temat przedwojennych stosunków w Europie środkowo-wschodniej, w szczególności w Polsce: „P. Miłosz mógłby dodać, że pisarze polscy i większość pisarzy wschodniej Europy w ogóle byli przyzwyczajeni do tych pomniejszych ustępstw, gdyż nawet przed wojną nie istniała w Europie absolutna wolność wypowiadania się".

OBROŃCA JAŁTY. Jeden z najbliższych współpracowników Roosevelta, sędzia Samuel I. Rosenman ogłosił p. t. „Working with Roosevelt" swe wspomnienia z tego okresu (Hart-Davis, cena 21 s.). Książka ta rozpoczęta została jako przedmowa do trzynastotomowego wydawnictwa „Public Papers of Franklin Roosevelt", rozrosła się jednak do rozmiarów osobnego tomu. Rosenman występuje w nim jako wielbiciel polityki Roosevelta i jego doradców; w szczególności broni zacięcie Jałty. Utrzymuje, że Stalin zrobił tam jedno ważne ustępstwo, mianowicie zgodził się, by zachodnie granice Polski określone były ostatecznie dopiero na konferencji pokojowej, nadto by Komitet Lubelski uległ daleko idącej reorganizacji.

„NIEZNANY WIĘZIEŃ POLITYCZNY"

Jak swego czasu donosiliśmy, Instytut Sztuki Współczesnej, rozpisał konkurs międzynarodowy na rzeźbę, przedstawiającą „nieznanego więźnia politycznego". Okazało się, że pomnik, wykonany na podstawie projektu, który uzyska pierwszą nagrodę, ma stanąć w Berlinie zachodnim.

Łączna suma nagrod wynosi 11.500 funtów i to może jest przyczyną, że na konkurs wpłynęło aż 3.500 projektów, zgłoszonych przez rzeźbiarzy z 57 krajów. Obecnie w New Burlington Galleries odbywa się wystawa makiet 12 projektów brytyjskich, które przedstawione będą do „finału" konkursowego; wystawiono też wybór spomiędzy projektów, które do „finału" nie weszły. Krytycy brytyjscy wyrażają się sceptycznie o szansach projektów brytyjskich, stwierdzając, że ani jeden z czołowych rzeźbiarzy brytyjskich, za jakich uważani są Epstein, Henry Moore i Frank Dobson, w konkursie udziału nie wziął. Inne kraje dokonują obecnie analogicznych wyborów „finałowych"; wystawa projektów nagrodzonych odbędzie się w marcu br. w Tate Gallery.

NIEWIDZIALNY PRZEWODNIK

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Kiedy indziej znowu działo się inaczej. Droga rozwoju i ustalenia pewnych formuł dogmatycznych zaczynała się niespodziewanie, pod wpływem jakiegos wypadku czy też indywidualnej inicjatywy. Zeby tylko jeden przykład przytoczyć, w znanym Credo Nicejskiego i Konstantynopolitańskiego I soboru podano całemu Kościołowi wyznanie wiary, że Duch Święty, jak to wyraźnie mowi i sam Pan Jezus, (Jan 15, 26) „pochodzi od Ojca". W Kościele wschodnim weszło to Credo w liturgię bardzo wcześnie, w Kościele zachodnim nieco później, ale że formuła „a Patre" była i na Zachodzie uznawana dowodzi synod Rzymski pod Papieżem Damazym z r. 380. (Denz. 74). O ile jednak Wschód trwał niewzruszenie przy tym sposobie wyrażania pochodzenia Ducha Swiętego, dodając tylko w prywatnej interpretacji teologów: „A Patre per Filium" o tyle na Zachodzie zaczęły niebawem budzić się wątpliwości co do dokładności całej tej formuły. Już w dwa lata po wspomnianym synodzie w r. 382 tenże sam Papież dodaje wyjaśnienie, że Duch Święty nie jest tylko Ojca ale i Syna (Denz. 83). Niewiadomo czy na skutek tego drugiego synodu, czy dzięki tej okoliczności, że Damazy jako Hiszpan z rodu miał większe wpływy w swej ojczyźnie, z początkiem V wieku włączono w Hiszpanii w Credo Nicejsko-Konstantynopolitańskie słynny dodatek „a Patre Filioque". Z Hiszpanii przeszedł on do Galii i wnet, za sprawą głównie Karola Wielkiego, przyjął się w całej Europie środkowej. Papież Leon III jednak, choć proszony przez kilka synodów, nie zgodził się na włączenie tej formuły w oficjalne Credo. Tymczasem na Wschodzie, dzięki zwłaszcza dużym wpływom sw. Jana Damascena, który dawną formułę „a Patre per Filium" zaostrzył w tym sensie, że Duch Święty nie pochodzi od Syna tylko od Ojca (De fide orth. I. cp. 11) zaczęła wiara nieznacznie chylić się w stronę błędu. Być może, że owo lekkie nachylenie dało się odczuc w wyznaniu wiary Patriarchy Tarazjusza wygłoszonym na soborze Nicejskim II, powszechnym VII w roku 787. Gdy akta tego soboru dostały się na Zachód, choć Hadrian I Papież wystąpił w obronie Greków, twierdząc słusznie, że ich formuła m o ż e mieć zdrowe znaczenie, Karol W. był oburzony i polecił, żeby w całym jego państwie mowiono w Credo, nie „a Patre per Filium", lecz „a Patre Filioque", co dopiero na prośbę św.Henryka cesarza, uznał oficjalnie Benedykt VIII Papież, a potem zatwierdziły sobory Lioński i Florencki. Przez takie dziwne zakręty drogi postępował rozwój tak ważnej dogmatycznej formuły, a postępował, jak dziś widzimy, zbawiennie. Formuły bowiem „a Patre" czy też „a Patre per Filium", choć same przez się poprawne, dadzą się nagiąć do błędu, w który popadła Focjańska schizma, podczas gdy formuła przyjęta w katolickim Kościele, jak to głęboko uzasadnia sw. Tomasz (I. 36, a. 2) sama jedna czyni całkowicie zadość wewnętrznej prawdzie tajemnicy Trójcy Swiętej.

Niekiedy znów dokonywa się rozwój na zupełnie innych drogach. Kierunek jego wytycza i do ciągłego postępu pomaga, nie tyle spekulatywny rozum, ile miłość. Miało to miejsce przede wszystkim, ale nie jedynie, w sprawie przywilejów i całej roli w dziele zbawienia Matki Najświętszej. Chociaż taki np. św. Paweł, mimo że ma za towarzysza „ewangelistę Maryi" św. Łukasza, poza krótką i ogólną wzmianką (Gal 4, 4) ani słowa nie poświęca Matce Jezusowej, od samego początku chrześcijaństwa otwierają się serca dla Tej, ktora w łonie swoim nosiła i na świat wydała Zbawiciela. Najstarsze symbole wiary wymieniają Ją jako Matkę-Dziewicę, wizerunki Jej mnożą się jeszcze na ścianach katakumb, po epoce prześladowań dźwigają się ku Jej czci coraz liczniejsze kościoły, Ojcowie święci prześcigają się w Jej pochwałach, lud wierny nie posiada się z radości, gdy na soborze Efeskim uroczyście określone zostaje Jej macierzyństwo Boże.

Ale nie dość było na tym: tysiące oczu i kapłanów i wiernych szukały Maryi na kartach Pisma świętego starego i nowego przymierza. Co mówiły o Niej Ewangelie, to znano prawie na pamięć, za to w księgach starego testamentu z jakąś świętą chciwością starano się odnaleźć te Jej przeróżne figury, symbole i zapowiedzi, które złożyły się później na Godzinki, na Litanie, na liturgiczne i nieliturgiczne modlitwy czy pieśni. A potem z samych tych modlitw ogólnie przyjętych, w myśl zasady „lex orandi est lex credendi" jeszcze silniej krzepiła się wiara w przedziwną wielkość Matki Bożej.

I tak się stało, że wytworzyła się koło Maryi w sercach prawdziwie chrześcijańskich taka atmosfera miłości i uwielbienia, że zanim jeszcze Kościół definitywnie je ogłosił, żyły już w przekonaniu wiernych wszystkie Jej przywileje włącznie z tymi, które już dogmatycznie określone zostały i z tymi nawet, których określenia spodziewamy się w przyszłości. Intelektualiści mogli niekiedy wątpić, jak wątpili o Niepokalanym Poczęciu wielcy scholastycy XIII wieku a o Wniebowzięciu różni późniejsi teologowie. Ale prości wierni byli pewni swej wiary, dając przez to nowy jeszcze dowód starej prawdy, że „oczy serca nieraz bystrzej patrzą niż oczy rozumu".

Podobnie pod wpływem wielkiej miłości, nie przybierała wprawdzie nowych określeń, bo rzecz była od początku zbyt jasna, ale znajdowała sobie coraz piękniejsze wyrazy w słowie i w praktyce życia wiara w rzeczywistą obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie. Podczas gdy w odszczepionych społecznościach religijnych, nawet zachowujących prawdziwe kapłaństwo, wiara w tę tajemnicę tak wystygła, że widywało się nieraz bursę z hostiami przeznaczonymi dla chorych wiszącą obok trybularza w zakrystii, w Kosciele prawdziwym, zwłaszcza od XII i XVII wieku wiara ta kipiała po prostu mnóstwem praktyk. Nie było końca wystawieniom i adoracjom, procesjom i różnym obchodom aż do wspaniałych kongresów eucharystycznych włącznie; częstość Komunii świętych dochodziła do nieprawdopodobnych rozmiarów; powstawały dla kultu utajonego Zbawiciela całe stowarzyszenia i zgromadzenia zakonne; pieśni i nymny, począwszy od przepysznych hymnów sw. Tomasza, oraz modlitwy prywatne i rozmyślania mnożyły się bez miary. Nie trudno pojąć, jak dalece przez wszystkie te praktyki pobożności umacniała się w sercach wiara w tajemnicę Eucharystii.

Coś podobnego dałoby się powiedzieć o wzroście żywej wiary w dogmat odkupienia pod wpływem ślicznego i pełnego miłości nabożeństwa do męki Pańskiej, rozkrzewionego głównie przez mistykę franciszkańską pierwszej doby.

Ostatni wreszcie z ważniejszych typow ewolucji objawionej prawdy miewa punkt wyjścia bardziej indywidualny. Czy to pod wpływem łaski, czy dzięki osobliwej genialności umysłu, odsłania się niekiedy przed duchowym wzrokiem któregoś z Ojców, czy to głębokie znaczenie jakiegoś tekstu Pisma świętego, czy pouczające zestawienie albo trafne ujęcie pewnych myśli zawartych w objawieniu. Takie szczęśliwe i cenne powiedzenia przechodzą potem z pism jednego Ojca do dzieł innych pisarzy, zdobywają sobie niejako prawo obywatelstwa w tych Summach teologicznych, w których, po rozstrząśnieniu kwestii, odgrywają rolę nieodbitych argumentów, a nieraz dostają się aż na same szczyty, tj. znajdują miejsce w samym tekście nieomylnych orzeczeń soborów lub Papieży. Przykładów dałoby się przytoczyć bardzo wiele, że tylko wspomnimy liczne powiedzenia św. Augustyna, cytowane w dekretach o łasce wydanych na soborze Trydenckim, albo teksty świętych Leona Wielkiego, Grzegorza Wielkiego, Ireneusza, Ambrożego, Wincentego z Lerinum, Bernarda i innych, na które powołuje się sobór Watykański. Niekiedy znowu wyjdzie spod pióra Ojców jakis szczęśliwie dobrany obraz czy porównanie tak wymowne, że ono obiegnie dzieła i szkoły teologiczne pomagając wszędzie do zrozumienia i wyrażenia jakiejś dogmatycznej prawdy. Wystarczy przytoczyć ślicznie wyzyskane przez Scheebena (Mysterien § 68, str. 410 i nn) podobieństwo, jakiego używa sw. Cyryl Aleksandryjski dla wyjaśnienia sposobu, w jaki Chrystus oddziaływa na ludzkość. Jest On — mówi św. Doktór — jakby tym węglem rozżarzonym, o jakim czytamy u Izajasza Proroka. Sam węgiel nie mógłby niczego dokonać, ale ponieważ w nim mieszka i rozpala go aż do żaru ogień Bóstwa, może on, przebywając na ziemi i wchodząc w wieloraki kontakt z ludzkością, rozgrzać, ożywić i uświęcić cały świat.

Przechodząc już do właściwego rozwiązania całego problemu, musimy postawić sobie doniosłe pytanie: Czy takie, jakie naszkicowaliśmy powyżej, główne drogi ewolucji dogmatu, tłumaczą nam bez reszty konkretny tej ewolucji wynik znany nam dobrze z nauki wiary? Cóż bowiem widzimy w całym tym wielkim systemie objawionej prawdy, wykutym niejako i obrobionym żmudną pracą wieków? Widzimy najściślejszą zwartość i tak potężną logikę wewnętrzną, że wszystkie artykuły wiary, choć bardzo różne treścią, nie tylko zdają się być urobione z jednego materiału, ale tak przedziwnie przystają do siebie i w całokształcie budowy tak trafiają na właściwe sobie miejsce, że robią wrażenie rzeczy stanowczo wychodzących, jeśli nie spod jednej ręki, to spod jednego i bardzo jednolitego planu.

Czy zaś taki plan kiedykolwiek istniał w umysłach ludzkich? Czy był ktokolwiek, kto by harmonijnego wykonania całego dzieła doglądał i nad nim czuwał?

Wszak dobrze wiemy! Dogmaty kształtowały się w różnych miejscach i czasach, pod wpływem ludzi nie tylko różnych charakterem i sposobem myślenia, ale należących do bardzo przeciwnych obozów, niekiedy w ogniu walk gwałtownych, jak to miało miejsce w długim okresie ariańskich sporów. Wiemy nadto — i stwierdzamy to bardzo często przy obecnym teologicznym studium — że argumenty, na podstawie których nadawano twierdzeniom i formułom taki a nie inny obrót, były nieraz obiektywnie słabe; sens pewnych tekstów Pisma świętego bywał raczej odczuwany, niż wydobywany ścisłą egzegezą; często kończyło się wszystko na przekonaniu, że tak musi być, bo tak w dawniejszych czasach wierzono, ale wskazać tej wierze jasny i niezawodny punkt oparcia bywało trudno.

Wobec tego stanu rzeczy powraca więc pytanie, jak w tych warunkach dźwignęła się wspaniała i jednolita budowa katolickiego dogmatu, a powraca to pytanie tym natarczywiej, że przecież cały przebieg tej wielowiekowej ewolucji dogmatycznej dokonywał się w sferze myśli przyrodzonemu rozumowi albo w części tylko, albo zupełnie niedostępnej i to w sferze wystawionej nieraz w samym trakcie kształtowania dogmatu na gwałtowne sprzeciwy czysto ludzkiej wiedzy. Przez cały ciąg dziejów myśli chrześcijańskiej zaznacza się ta opozycja, którą św. Paweł charakteryzuje w słowach: „Opowiadamy mądrość, nie wieku tego ani książąt wieku tego... lecz mądrość Bożą w tajemnicy... której nikt z książąt tego wieku nie poznał, ale... którą Bóg nam objawił przez Ducha swojego. Duch bowiem wszystko wypatruje, i głębokości Boże" (1. Kor. 2, 6 nn).

I oto w tych słowach Apostoła jest jedyne możliwe wytłumaczenie tak dziwnego i po ludzku niezrozumiałego rozwoju, przez jaki przeszła w ciągu blisko dwudziestu wieków objawiona od Boga prawda. Długiej tej drogi Kościół Chrystusowy nie odbywał sam. Szedł z nim ciągle i kierował każdym jego krokiem n i e w i d z i a l n y P r z e w o d n i k. U samego progu tej wiekowej wędrówki powiedział by: Zbawiciel swoim uczniom, w których ręce depozyt prawdy składał: „Jeszcze wam wiele mam powiedzieć, ale teraz znieść nie możecie... Lecz gdy przyjdzie Duch Prawdy, którego Ojciec pośle w imię moje... aby mieszkał z wami na wieki... On was nauczy wszelkiej prawdy... i przypomni wam wszystko cokolwiek bym wam powiedział... a wy poznacie Go, bo u was mieszkać będzie i w was będzie" (Jan 14,17.26 n.16,12 n).

Całe życie i rozwój katolickiego dogmatu jest wymowną ilustracją powyższych słów Chrystusowych. Duch Prawdy tj. Duch Święty ustawicznie mieszkający w Kościele, On uczy stale mądrości czyli prawdy, nie ludzkiej lecz Bożej, a raczej, jak znacząco mówi tekst oryginalny „wprowadza" (hodegezei) „we wszelką prawdę". Jest to więc wędrówka, w której Duch Święty przewodniczy, a wędrówka długa, bo i Kościół, podobnie jak Apostołowie, nie całą prawdę znieść może od razu.

Zaczął ten Boski Nauczyciel od tej pierwszej generacji uczniów Chrystusowych, na których zstąpił w wichrze i w ogniu. Dał im moc wierzenia i objawił wspaniale różne tajemnice wiary do pierwszego nasycenia i orientacji myśli chrześcijańskiej oraz chrześcijańskiego życia szczególnie potrzebne, ale nie rozwijał przed nimi całego obrazu prawdy objawionej tak, jak miała się przedstawiać w dalszych swych fazach. A potem, gdy Kościół znalazł się bez tych, którzy „sami przypatrywali się (dziejom ewangelicznym) i byli sługami słowa" (Łuk 1, 2), „przypominał" Duch Święty naukę Chrystusową przez uczniów apostolskich i przez tak licznych wówczas charyzmatyków-proroków, dodając zarazem przez takich, jak autor „Nauki dwunastu Apostołów", jak święci Klemens i Ignacy Męczennik, ważne pouczenia co do organizacji kościelnej, co do ładu kościelnego życia, co do wystrzegania się nauczycieli fałszu.

W miarę jak oddalały się w przeszłość apostolskie czasy a przybywało heretyków starających się obalić historyczne podstawy chrześcijaństwa, coraz potrzebniejsze były pouczenia o życiu i śmierci Apostołów, o kanonie ksiąg świętych nowego testamentu, o następstwie biskupów, zwłaszcza rzymskich. I oto znów Duch Święty przez takich mężów, jak Papiasz z Hierapolis, jak Justyn Męczennik, jak Dionizy z Koryntu, jak Hegesippus a zwłaszcza Ireneusz, rozsiewa klejnoty bezcennych świadectw, które i dzisiaj jeszcze oddają badaczom początków chrześcijaństwa największe usługi.

To były same początki, w których chodziło o zabezpieczenie religii Chrystusowej wewnętrznej zwartości i jakkolwiek możliwych warunków bytowania w ówczesnym świecie. Ale już pod koniec III wieku, choć jeszcze nie ustało prześladowanie, a daleko bardziej po uzyskaniu wolności Kościoła, coraz szerzej i bujniej płynący nurt chrześcijańskiego życia wyrzuca niejako na powierzchnię świadomości kościelnej całe szeregi zagadnień, zrazu głównie dyscyplinarnych, potem i spekulatywnych, przeważnie narzucanych przez niespokojne duchy, przeciwstawiające swój rozum objawionej wierze. Powstają szkoły teologiczne w Aleksandrii i w Antiochii, piszą się coraz liczniejsze księgi, mnożą się synody.

I tu zaczyna się epoka, w której zaznacza się zdumiewająco działanie Ducha Prawdy. Jakby zapalające się kolejno pochodnie, pojawiają się w ciągu IV i V wieku, w niebywałej liczbie i w niezrównanym blasku naprzyrodzonej wiedzy: Epifaniusz, Bazyli, obaj Grzegorze z Nazjanzu i Nyssy, obaj Cyryle z Aleksandrii i Jeruzalem, Chryzostom, Hilary, Ambroży, Augustyn, Hieronim, Fulgencjusz, Leon — żeby wielu mniej głośnych pominąć. Do walki z szalejącą herezją stają takie przepyszne, niezłomne charaktery, jak Atanazy i Euzebiusz z Vercelli. Na stolicy Piotrowej zasiadają tacy Papieże, jak Sylwester, Juliusz, Damazy, Syrycjusz, Innocenty, Celestyn.

Coż więc dziwnego, że nie tylko dano wspaniały odpor całemu szeregowi upartych i zjadliwych herezji, ale poprzemięto na drogach pozytywnego rozwoju całą prawie sumę prawd objawionych. Bo chociaż żaden z wymienionych Ojców systematycznego wykładu całej nauki katolickiej nie przedsięwziął, zaledwie jakiś ważniejszy punkt tej nauki pozostał niedotknięty w ogromnych dziełach, jakie ta złota epoka Ojców pozostawiła po sobie. Słusznie powiedziano, że z pism samego Augustyna dałby się złożyć wykład dogmatu katolickiego niemal zupełny.

Ale co najważniejsza, ta epoka była świadkiem pojawienia się na widowni kościelnego życia tej instytucji, która przez długie wieki w procesie ostatecznej krystalizacji dogmatu główną odgrywała rolę. W tym czasie odbył się pierwszy sobór powszechny w Nicei, a po nim trzy inne w Konstantynopolu, Efezie i Chalcedonie. Zamanifestowała się wspaniale jedność katolickiego Kościoła, nie tylko przez złączenie przy wspólnych obradach ogromnej liczby biskupów z całego wówczas kulturalnego świata, ale przez wyraźne na soborach powszechnych przekonanie, że dzięki współdziałaniu Przenajświętszego Ducha, zgodna uchwała większości Ojców jest bezwzględnie pewnym i dlatego nieodmiennym stwierdzeniem, że taka a taka nauka jest istotnie cząstką objawionej przez Boga prawdy.

Niezłomne granice ewolucji dogmatów były wytknięte. Mogły buntować się i wstrząsać Kościołem różne herezje, mogły powstawać rozmaite teologiczne szkoły, mogła panować nawet między biskupami różnica zdań i niezgoda, mogły w tym lub owym kierunku wywierać nacisk potęgi tego świata lub ideowe prądy — z chwilą, kiedy na soborze powszechnym zapadła większością głosów jakas uchwała, nikt z katolikow nie mógł już wątpić gdzie jest prawda i wszystkim było jasne, czy drogą jej rozwoju kierował niewidzialny a nieomylny Przewodnik, czy też wchodziły tu w grę omylne ludzkie czynniki.

I odbyło się po czterech powszechnych soborach z epoki Ojców szesnaście innych. Wśród niesłychanych niekiedy wstrząsów politycznych i ideowych konfliktów zjeżdżali się biskupi, by z powagą owianą tchnieniem przychodzącym z góry, przy rozważaniu przeróżnych zagadnień, wskazać zawsze to rozwiązanie, które mniej lub więcej ukryte żyło od wieków w depozycie wiary, a wskazać je z tą pełną samowiedzą: Zdało się Duchowi Świętemu i nam.

Takim uroczystym orzeczeniem uznał ostatni z wspomnianych soborów powszechnych, że ta sama nieomylność w rozstrzyganiu spraw objawionej wiary, jaka przysługuje biskupom na soborze powszechnym złączonym, przysługuje i samemu Papieżowi w chwili, gdy przemawia jako najwyższy pasterz i nauczyciel wszystkich wiernych.

Strumień ewolucji dogmatów mógł więc odtąd mieć dwojakie ujście: nowy dogmat mógł wpływać do świadomości wiernych, albo przez zgodny głos soboru albo przez usta samego Następcy świętego Piotra. Ale warunki i wewnętrzna racja nieomylności obu rodzajów tych orzeczeń nie uległy zmianie. Jak sobory tak i Papieże powołują się zawsze na towarzyszącego sobie Ducha Prawdy. I Pius IX przy ogłoszeniu Niepokalanego Poczęcia i Piusa XII, gdy podaje do wiary Kościoła Wniebowzięcie Maryi, mówią wyraźnie o gorących modłach, jakie zanosili do Przenajświętszego Ducha i nie inaczej jak w oparciu o pomoc Tego niewidzialnego Nauczyciela wymawiają słowa uroczystej definicji. A słowa te potwierdza z nieba Chrystus, bo On zapewnił nas obietnicą, która „nigdy nie przeminie", że Duch mieszkający w Kościele na wieki, wprowadzi go we wszelką prawdę.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

(„Przegląd Powszechny", nr 11, listopad 1952)

PRZEDSTAWICIELSTWO
KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO
„VERITAS"

NA FRANCJĘ I POSIADŁOŚCI FRANCUSKIE

POSIADA

KSIĘGARNIA „LIBELLA"

12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV.

Przyjmuje przedpłaty na:

„ŻYCIE", „GAZETĘ NIEDZIELNĄ" I „BIBLIOTEKĘ POLSKĄ".

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Modlitwy przy objęciu władzy przez Eisenhowera. Arcybiskup Waszyngtonu, Patryk O'Boyle był pierwszym z duchowieństwa trzech wyznań, którzy odmówili modlitwy przy objęciu władzy przez Eisenhowera. W modlitwie swej prosił arcybiskup, by Bóg napełnił swymi darami umysły i serca obejmujących władzę w Stanach Zjednoczonych, ażeby starali się służyć Bogu przez najbardziej bezinteresowną służbę obywatelom państwa. Niech raczy zstąpić Duch Święty na prezydenta, ażeby poznał wolę Bożą i otrzymał światło we wszystkich napotykanych trudnościach. Boski dar pobożności niech mu umożliwi chodzenie w obliczu Boga w pokorze, dar odwagi niech da mu pogodę ducha wobec gigantycznych zadan jego urzędu, a dar miłości niech ożywia jego miłość do współobywateli.

Sam zas nowy prezydent przed wygłoszeniem inauguracyjnego przemówienia odczytał następującą modlitwę: „Boże wszechmogący, wszyscy obecni tutaj członkowie mojego przyszłego rządu łączą się ze mną w modlitwie do Ciebie, abyś sprawił, żebyśmy byli całkowicie na usługach ludzi. Daj nam możność odróżniania dobra od zła. Daj, aby nasze słowa i nasze czyny były zgodne z prawami tego kraju. Spraw, abyśmy zajmowali się wszystkimi na równi, bez względu na klasy, rasę czy barwę skóry. Spraw, aby pragnienie współpracy było wspólnym celem tych, którzy zgodnie z naszą konstytucją, są zwolennikami różnych opinij politycznych, ażebysmy wszyscy pracowali dla dobra naszego ukochanego kraju i dla Twojej największej chwały."

Siostra św. Tereni o niej. Carmel w Lisieux wydał „Conseils et souvenirs" zebrane przez jedyną żyjącą jeszcze siostrę św. Tereni, siostrę Genowefę od Świętego Oblicza. Książka liczy przeszło 200 stron i kosztuje 390 frs. bez przesyłki. Wśród dodatków do wspomnien warto zanotować komentarz Świętej do jej aktu poświęcenia się na ofiarę Miłości, co jest bardzo ważne ze względu na prośbę Świętej, którą kończą się jej „Dzieje duszy", zaniesioną do Boga, by zechciał wzbudzić sobie legion duszyczek oddających Mu się jako ofiary miłości.

Do poznania więc św. Tereni, tak popularnej w całym świecie, mamy obecnie cztery zasadnicze dzieła wydane w Lisieux: „Dzieje duszy", „Listy św. Teresy", „Novissima verba" i ostatnio wydane „Rady i wspomnienia".

Udział „nauki" w komunizowaniu. 11 stycznia powstał w Warszawie Instytut Historii, którego zadaniem jest planowanie i prowadzenie badań naukowych. Ma być opracowany uniwersytecki podręcznik historii Polski, historia Śląska, Pomorza, atlas historyczny Polski; jako pierwsze zadanie przewidziano przekład na język polski radzieckich podręczników historii powszechnej i narodów ZSSR.

Święto Marii Królowej. Mariologiczne Stowarzyszenie Amerykańskie wyłoniło na zjeździe w Cleveland komisję, ktora ma przygotować petycję do Stolicy Apostolskiej w sprawie ustanowienia święta Marii Królowej. Petycja ma objąć rezolucję wielu stowarzyszeń religijnych, jak również dokumenty z Pisma św. i Tradycji. Zwrócono uwagę, że święto takie obchodzi się w różnych krajach pod różnymi formami, np. w Polsce jako uroczystość Królowej Polski. Z argumentów teologicznych przytacza nie współdziałanie Matki Boskiej w założeniu Królestwa Chrystusowego na ziemi przez udział Najświętszej Panienki w Odkupieniu oraz podtrzymywanie tegoż królestwa przez Jej wszechpośrednictwo łask.

Wyniki zbiórki dziękczynienia. Ostatnia zbiórka dziękczynienia, przeprowadzona w listopadzie 1952 r. w Stanach Zjednoczonych, osiągnęła 9 milionów funtów odzieży, obuwia i innych rzeczy zbieranych jako pomoc dla krajów potrzebujących. Przewidywaną ilość przekroczono o milion funtów. Pomoc wysłano dla uchodźców w zachodniej Europie, na Koreę, do Austrii, Włoch itd.

Nowe opactwo benedyktyńskie w Dakocie. W południowej Dakocie zostało poświęcone opactwo benedyktyńskie, które nosi nazwę Blue Cloud Abbey dla uczczenia sławnego naczelnika ze szczepu Sioux, Blue Cloud, który po nawróceniu przez 50 lat nie miał styczności z żadnym kapłanem, a jednak wiarę zachował wraz ze swą rodziną. Benedyktyni pracują wśród Indian w Dakocie od przeszło 70 lat.

Wydania Biblii przed Lutrem. Przez październik roku zeszłego obchodzono w Stanach Zjednoczonych 500-lecie pierwszej drukowanej Biblii. Przy tej sposobności przypomniano, że od roku 1452 do 1500 ukazało się przeszło 130 wydań Biblii, a do roku 1522, w którym Luter dokonał swego przekładu na język niemiecki, było już 626 wydań Biblii.

Droga Krzyżowa w Montrealu. Przy sławnym oratorium św. Józefa w Montrealu powstaje droga krzyżowa, którą wykonuje Ludwik Parent z tegoż miasta. Droga krzyżowa będzie miała 46 postaci z granitu, wielkości dużo większej niż normalny wzrost człowieka. Wielu Polaków pielgrzymuje corocznie do tego miejsca pielgrzymkowego, które założył brat Andrzej ze zgromadzenia Krzyża świętego, zmarły w roku 1937. Sprawa jego beatyfikacji jest w toku.

MARIA WINOWSKA

„CZŁOWIEK NOWY"

Niewielu spośród nas zdaje sobie sprawę z doniosłości czasów, w których i nam wypada spełnić niewymienną rolę. Bije od nich groza i majestat kataklizmu dziejowego. Nie dość wiedzieć o tym tylko wiedzą, że tak powiem, czysto intelektualną, z książek lub pism. Udział nasz w ogromnym przełomie musi być tak całkowity, jak człowiek, w którego godzi. Chyba, że poprzestaniemy na roli statystów, chyba, że zezwolimy, aby nowy świat budował się bez nas i poza nami... Biada dezerterom!

Losy nasze tak są dziś splątane z losami wszechświata, że nie możemy wycofać się bezkarnie z dostojnej gry. Choćbyśmy nawet nie chcieli, rola nasza jest uniwersalna, ma rezonanse kosmiczne. Rzecz w tym, czy zechcemy się zaangażować? Sercem, myślą, duszą, ciałem? Czy też — nie po raz pierwszy w dziejach — poszukamy sobie błogiego schronu w „liberum veto"? Wygodnego alibi w tragedii narodowej? Brońmy się przed psychozą klęski i przed pokusą biernego „czekania". Historia, która nie będzie się tworzyć z nami, tworzyć się będzie przeciw nam. A nie chodzi tu bynajmniej, tylko i wyłącznie, ani nawet przede wszystkim o udział polityczny. Brońmy się przed tak bardzo domorosłą obsesją, którą stary Maurras wyraził w dwu słowach: „politique d'abord". Nie tylko dlatego, że Papież ją potępił i że jest tak z gruntu „niekatolicka". Także dlatego (mówię do naszych katolików paszportowych), że jest nierealna, niepraktyczna i buduje dach, zapominając o fundamentach.

Nie tylko dach, lecz i fundament jest dziś zagrożony. Nie tylko byt polityczny narodów, bo i człowiek, ten budulec narodów, stanął pod znakiem zapytania. Niebezpieczeństwo nie godzi w nas tylko od zewnątrz. Sami w sobie jesteśmy polami bitewnymi i nieraz wróg, od którego odżegnujemy się głośno, oficjalnie i uroczyście, znajduje w naszym forum internum cichych sojuszników. Iluż firmowych antykomunistów żyje w kręgu idej, jakie głosi komunizm! Iluż przeciwników idej totalnych choruje na totalizm! Wciąż jeszcze wierzymy naiwnie, że przebudowa świata zależy od jakichś zewnętrznych przewrotów, od nowej „wojny ludów" od politycznych zmian, od ekonomicznych reform. Wierzymy, ach jak żarliwie wierzymy „w świętą organizację", która niby Deus ex machina „urobi" członków na modłę danego ideału. Rozumujemy tymiż samymi kategoriami, jakimi rozumują marksiści, na tej samej płaszczyźnie, w tych samych wymiarach, zapominając, że konflikt jest o wiele głębszy, istotniejszy i groźniejszy i że nie tylko ekonomia lub struktura polityczna są dziś w grze, ale również, ale przede wszystkim święta calizna duszy ludzkiej, Bogu poddanej.

Niestety, komuniści o wiele lepiej wiedzą, czego chcą, niż większość antykomunistów. Niestety, o wiele sprawniej zmierzają do celu, niż ci, co ich zwalczają. Postawili sobie program nie lada jaki: przerobić świat; przerobić człowieka; stworzyć nowy świat; stworzyc nowego człowieka; środkami ludzkimi; i tylko ludzkimi. Prometejski to sen, nie bez tragicznej wielkości. Nigdy w dziejach człowiek nie chciał tak jak dziś obejść się bez Boga, nigdy nie budował konsekwentniej świata bez Boga. Marksizm jest tylko jednym z przejawów ogromnej apostazji, najgroźniejszym, bo najbardziej popularnym — ale bynajmniej nie jedynym. Śmiem rzec, że wszędzie tam, gdzie stawia się Boga za nawias, zanika odporność organizmów na bakcyl komunistyczny. Miejmy odwagę widzieć problem takim, jakim jest!

Nie jest to problem ekonomiczny (choć chciano by to w nas wmówić), ani polityczny (choć wmawiamy to w siebie), ani nawet społeczny (choć wydaje się tak na pierwszy rzut oka). Jest to problem w pierwszej linii duchowy. Wszystko inne zazębia się dopiero o ten zasadniczy zrąb. Fundamentem marksizmu jest nie filozofia, ani ekonomia, ani socjologia, ale dogmat ślepo obowiązujący pod grozą represji, wobec których najfanatyczniejsze inkwizycje były jeno igraszką dziecinną, nieodzowny do zbawienia, decydujący o prawowierności. Jest nim wiara w samowystarczalność człowieka. Komunizm wyklucza a priori wszelkie wyloty w świat walorów transcendentnych, a więc ponadludzkich. Głosi krucjatę w obronie praw człowieka do własnych granic. Jest to największa w dziejach rebelia „królestwa ziemskiego" przeciw „królestwu niebieskiemu". I na tym właśnie polega tragiczny patos marksizmu oraz poglądów jemu pokrewnych. Jął się imprezy iście gigantycznej, postanowił wyzwolić człowieka od „pokusy Bożej", uśpić jego „serce niezaspokojone", skierować wszystkie jego tęsknoty wiekuiste na doczesne tory, przyodziać go w Boskie atrybuty, zamiast nieba, jak dojrzałe, smaczne jabłko ofiarować mu ziemię i tylko ziemię. Klucz do komunizmu daje nam jego aspekt religijny.

Religii nie zwalcza się polityką. Ani ekonomią. Ani socjologią. Na religię odpowiedzieć można tylko religią. Kto w komunizmie tego dna się nie dowiercił, nie znajdzie odtrutki. Zwykle sprowadzamy zagadnienie do planu ekonomicznego. Gra on niewątpliwie ważną rolę, ale nie najważniejszą. Gdyż homo oeconomicus poto jest, by pożarł „animal religiosum". Ekonomia ma wyzwolić człowieka od religii, wchłaniając ją niejako w siebie. Przyjdzie chwila, gdy człowiek będzie dość mocny, żeby obejść się bez wszystkich „nadbudówek", którym hołdował w epoce swego niemowlęctwa i już nie będzie potrzebować Boga, gdyż sam sobie będzie Bogiem. Eschatologia komunistyczna nie obiecuje mniej...

Toteż wierzyć w jakąś ewolucję marksizmu i kompromis z chrześcijaństwem mogą tylko ludzie bardzo naiwni i nie znający doktryny. To nic, że dla takich czy innych względów taktycznych, w tych czy innych krajach uprawia on tolerancję lub szuka jakiegoś modus vivendi z Kościołem. Komunizm jest za mądry, żeby fabrykować męczenników. Woli głaskać i usypiać. „Róbcież sobie po zakrystiach co się wam żywnie podoba! Ceremonie, uroczystości, śpiewy i chorągwie — bawcie się tym, jeśli chcecie. My tymczasem będziemy robić swoją robotę. Odbierzemy wam młodzież. Odbierzemy wam rodzinę. Odbierzemy wam prasę. Odbierzemy wam akcję społeczną. Pocieszajcie się, odurzajcie dewocjami! Nikt wam tego nie broni, i owszem jest to nam na rękę, bo odwraca waszą uwagę od krecich podkopów, ktorymi osaczamy wam kościoły..." Komunizm poto flirtuje z Kościołem, żeby go tym skuteczniej unieszkodliwić.

Jak górski potok wzbiera i wchłania wszystkie ruczaje i wodne żyły ze stoków, które się ku niemu kłonią, podobnie marksizm rozrósł się i napęczniał dzięki prądom, które niekoniecznie są zeń rodem, ale sprzyjają mu w tym stopniu, w jakim głoszą autonomię człowieka i „śmierć Boga" (Nietzsche). „Człowiek techniki" jest świadomym lub mimowolnym sojusznikiem marksisty — Ford toruje drogę stachanowszczyźnie.

Czyżby wynikało stąd, że mamy wytoczyć proces „człowiekowi techniki"? Że winniśmy rzucić anatemę na energię atomową? Uchowaj Boże! Nie technika winna, że nadużywa jej człowiek. Nie w energiach, wyzwalanych z łona przyrody, ale w sercu człowieka czai się zło. Współczesna technika jest jedną z owych „zwariowanych prawd", o których mówi nam Chesterton, że je na gwałt trzeba — nawrócić. To znaczy zaszczepić z powrotem w sędziwy pień, od którego oderwała się butnie. Czymżeż jest bowiem rozmach odkrywczy i ta święta ciekawość, która pali uczonego w obliczu nieobeszłych tajemnic przyrody, jak nie prostą konsekwencją obietnicy, danej pierwszemu człowiekowi, „iż ziemia poddana mu będzie"? Po stworzeniu człowieka Bóg spoczął, gdyż jemu przekazał niejako odblask swojej twórczej mocy. Kilka wersetów Genezy daje klucz do wszystkich tryumfów człowieka nad przyrodą, oddaną mu w poddaństwo, co więcej: daje mu do nich prawo. Rozpierane drożdżami Łaski ciasto ludzkie wzbiera nie tylko w górę, ale również w głąb i wszerz. Nie tylko niebo zdobywa, ale również — ziemię. Czy zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego właśnie chrześcijańska Europa jest ojczyzną techniki, gdy kraje o wiele starszej kulturze, jak Chiny lub Indie spały przez tysiąclecia i nie umiały lub nie chciały wyzyskać tych nawet odkryć, które udostępnili im badacze? Dziś holuje je Europa...

Bieda w tym, że czysta robota uczonych dostała się w nieczyste ręce demagogów, którzy zaczęli z niej fabrykować narzędzia propagandy. Słyszeliśmy do znudzenia o procesie Galileusza, o obskurantyzmie Kościoła, o tym, że pewne odkrycia naukowe ipso facto podważają dogmat, że więc chrześcijaństwo nie wytrzymuje próby odkryć w naukach przyrodniczych. Mniej jakoś mówi się i wie o Pasteurach i Branlych, o Termierach i Theilhardach de Chardin, którzy w dociekaniach naukowych, na miarę nieraz zawrotną, znaleźli nie hamulec, lecz argument dla swojej wiary. Jak zwykle i tu synowie ciemności o wiele są sprytniejsi od synów światłości. Dajemy się rugować z naszej schedy bez protestu i wynik stąd taki, że „człowiek techniki" stał się oficjalnym budowniczym świata bez Boga lub przeciw Bogu. Rzecz znamienna: odkrycia ostatnich lat tropią ślady wolności w najskrytszych trzewiach przyrody — pomyślmy tylko o rewolucji w koncepcjach materii — gdy technika w rękach propagandy zamienia się coraz bardziej w narzędzie niewoli. Złote sny uczonych o wyzwoleniu człowieka spod jarzma ślepych sił grzęzną w mule pobojowisk, lepkim od krwi. Czy technika temu winna?

Winien człowiek.

Gdyż, moralnie, nie dorasta dziś do sił, jakie rozpętał. Ujarzmił energię atomową, nie umie ujarzmić siebie: stokroć to trudniejsza rzecz!

Nie trudno by pobić marksistę argumentami intelektualnymi. Są pytania, na które nie umie on dać „naukowej" odpowiedzi. Dlaczego dialektyka materializmu dziejowego zakończy się skokiem w absolut? Jaki Deus ex machina powie „stop!" ostatniej syntezie? Kto zagwarantował marksiście, że z czasem sprzeczności się „zacierają"? Jakim cudem „więcej" rodzi się z „mniej", miłość z nienawiści, dobro ze zła, prawda z kłamstwa? Jak można w ogóle mówić o wartościach, gdy wszystko jest względne? Żadna rewolucja nie może urodzić „uniwersalnego pojednania", gdyż każda rewolucja jest z natury dialektyczna! Wreszcie: jakim prawem marksizm pretenduje do nieomylności? Jeśli ideologie są tylko odbiciem danej struktury ekonomicznej i „nadbudówką", kto nam dowiedzie, że marksizm, który powstał jako reakcja przeciwko strukturze kapitalistycznej, nie jest sam jedną z licznych „nadbudówek", luzujących się w ciągu stuleci? Jeśli wszystko jest względne, skąd oceny moralne? Jeśli w łańcuchu dialektyki dziejowej kapitalizm jest nieuniknioną wypadkową danej struktury ekonomicznej, czemuż aż tak go nienawidzić i tak się przeciw niemu oburzać? Jaka łaska stanu zbawi proletariat przed grzechem pierworodnym eksploatacji w stosunku do nowego „pod-proletariatu"?

Te i inne argumenty działają jedynie „ad extra", gdyż prawy marksista albo nie reaguje na nie w ogóle albo ma już na nie „gotową" odpowiedź, mniejsza o to, że nie naukową. Gdyż prawy marksista jest fanatykiem swojej „wiary". Dowody logiczne spływają po nim, jak po szkle. Dajmy mahometaninowi „Sumę" świętego Tomasza i zobaczymy, czy się nawróci! Podobnie możemy „przekonywać" komunistę: gdyby nawet nie miał odpowiedzi, będzie apelował do partii nieomylnej. Największym błędem przeciwników komunizmu jest sądzić, że z komunistami można „dyskutować". Tak myśleli naiwnie do niedawna francuscy katolicy. Nie. Odpowiedź, jakiej domaga się komunizm, musi być tak totalna, jak prawda, w którą godzi. „Nowemu człowiekowi" trzeba przeciwstawić „nowego człowieka".

I my mamy nań receptę, od dwu tysięcy lat. Zalecał ją ongiś Paweł z Tarsu i odtąd całkiem nieźle wchodziła w praktykę. Każdy święty jest jej żywą ilustracją, każdy z nas, niezliczonych grzeszników, aplikuje ją, jak może. Wartość tej recepty również i na tym się zasadza, że została dana przez Kogoś. Kto zna się na człowieku, gdyż sam go stworzył — i PRZYODZIAŁ; że więc odpowiada najistotniej ludzkiej naturze.

Wspomniałam na wstępie, że sednem komunizmu jest negacja transcendencji, a więc wszystkiego, co człowieka przerasta — w jakimkolwiek kierunku: i w górę i w dół. Dogmat o samowystarczalności człowieka, eksploatacji dla celów „królestwa ziemskiego" dyspozycji religijnych, mających na celu budowanie „królestwa niebieskiego". Cezar konfiskujący do własnego użytku nie tylko to, co cesarskie, ale również to, co Boskie. Jednym słowem „nowy człowiek", Prometeusz wyzwolony, człowiek będący sam sobie Bogiem.

Wszystkie doktryny, które mniej lub bardziej hołdują tym poglądom, wysługują się marksizmowi, świadomie czy nieświadomie. Co więcej: każdy kto zamknie w sobie wyloty na świat pozaludzki staje się bezbronny wobec pokusy, mimo wszystko wielkiej; czyż nie jest to stara jak świat, choć w nowym wydaniu, perfidna obietnica, iż „będziecie jako Bogowie"? Cóż innego przyrzeka nam nowy prometeizm?

Tedy w walce z komunizmem musimy zacząć od fundamentu, to jest od obrony człowieka. Najpierw w nas samych.

Powie mi ktoś: czy chodzi o obronę człowieka, czy też o obronę Boga? Kto tu jest oardziej zagrożony? Wszak nowy Prometeusz uzurpuje rangę Boga!

Odpowiadam: człowieka bez Boga nie stać na to, żeby być człowiekiem i broniąc Boga w duszy ludzkiej bronimy tym samym człowieka. Gdyż dusza ludzka nosi w sobie niezatarte znamię Boże. Zakłamać się nie da, czy chce, czy nie chce, jest Mu tajnym sojusznikiem. Każdy z nas nosi w sobie piątą kolumnę Królestwa Bożego i na to nie ma rady! Zdrada tej prawdy kardynalnej dyskontuje się polami zgliszcz, morzem krwi: czyż nie widzimy, jak trudno człowiekowi być tylko człowiekiem?

Nie dość mieć receptę. Trzeba ją nadto aplikować. I tu szwankuje nasza praktyka. Szukamy wroga na peryferiach, nie zaś w sercu cytadeli. Widzimy w komunizmie doktrynę ekonomiczną, doktrynę społeczną — nie widzimy lub nie chcemy widzieć, czym w istocie jest: największą w dziejach imprezą emancypacji człowieka wbrew naturze człowieka, na oścież rozwartej Bogu. A więc grzechem nie tylko przeciw Bogu, ale również przeciw człowiekowi; zbrodnią obrazy majestatu człowieczego, tej „dignitas humana", o której tak pięknie prawi nam św. Leon w Bożą Noc: „Cognosce, o Christiane, dignitatem tuam..." „Poznaj, chrześcijaninie, dostojeństwo twoje i stawszy się uczestnikiem Boskiej natury, nie powracaj życiem zwyrodniałym do uprzedniej nikczemności. Zważ, czyjej Głowy i czyjego Ciała jesteś członkiem! Pomnij, że wyrwany spod władzy ciemności zostałeś przeniesiony w jasność i królestwo Boga." (Drugi nokturn w noc Bożego Narodzenia).

Tragedią Prometeusza jest to, że chce wydrzeć Bogu przemocą, w szatańskiej bucie, co Bóg od początku i tak mu przeznaczył jako dar miłości.

„Eritis sicut dii" — powiedział w raju wąż: „będziecie jako Bogowie".

„I Bóg człowiekiem się stał, by człowiek stał się Bogiem" — odpowiada lapidarnie św. Augustyn: czymżeż jest łaska, jak nie „uczestnictwem w naturze Boskiej"? Dałby Bóg, żebyśmy znali nasz dogmat, tak jak komuniści znają swój.

Tragedią Prometeusza jest to, że miesza i utożsamia królestwo ziemskie z Królestwem niebieskim. Nikt mu nie broni władzy nad siłami przyrody, sam Bóg mu ją zawierzył. „Non eripit mortalia"... Ale Królestwo niebieskie jest klimatem, w którym dojrzewa wolny człowiek; i dusza bez łaski jest jak chory ptak o spętanych skrzydłach. By móc podbić ziemię bezkarnie, nie wolno wadzić się z niebem! W przeciwnym razie ujarzmiona przyroda odwróci się przeciw nam, zamiast błogosławieństwem stanie się przekleństwem. Pomyślmy tylko, czym mogła by się stać energia atomowa, gdyby służyła dobrej sprawie? Człowiekowi, który mianuje się Bogiem, nawet królestwo ziemskie wymyka się z rąk.

Trudno i darmo. Nosimy w sobie podwójną ranę, głęboką ranę. Ranę grzechu i bezgranicznej tęsknoty, którą może zaspokoić tylko Bóg. Ciągnie nas w podwójną otchłań: w górę i w dół. Jesteśmy w czasie. Ale czas ten wkorzeniony jest w wieczność. Jesteśmy kłębowiskiem żmij. I pojemnością Bożą. Któż pojmie to dogłębne rozćwiartowanie? Tylko Bóg, który jeden jest zdolny nas uleczyć. I przebóstwić. Taki jest, ni mniej, ni więcej, program łaski. Byle byśmy tylko pozwolili jej w sobie działać, byle byśmy tylko na jej przyjęcie otworzyli dom!

Chrześcijanin jest skrzyżowaniem wysokich napięć, o jakich nie śni się nie-chrześcijaninowi. I „człowiek nowy", którego głosił Paweł święty, jest rekordem awansów, wobec których osiągnięcia marksisty — nawet te z kraju Utopij — są dziecinną igraszką. Bo czymże jest odnowa ziemi wobec odnowy duszy ludzkiej? Rewolucja ekonomiczna wobec rewolucji duchowej? Człowiek, który przerósł siebie wobec człowieka, który siebie nie dorósł? Gdyż komunizm zna się tylko na rachunku odejmowania. Ani do wielkości, ani do aspiracji człowieka nic nie dodał. Dowiódł tylko jednej rzeczy: jak trudno człowiekowi być TYLKO człowiekiem.

Maria Winowska

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

CHAUCER NOWOCZESNY*)

„Trzymaj się z dala od czerwonego i białego, ale szczególnie od białego wina z Lepe, które sprzedają na Fish Street i na Cheapside. To hiszpańskie wino tajemniczo zakrada się do innych win, rosnących w pobliżu, z których unoszą się takie opary, że po trzech łykach, chociaż wydaje się człowiekowi, że jest w domu na Cheapside, jest w Hiszpanii, w samym Lepe, a nie w Rochelle ani w Bordeaux".

Słowa te napisał w końcu XIV w. człowiek, który znał się na gatunkach win i na londyńskich winiarzach. Uznawał uczciwość winiarzy i przypuszczał, że jeżeli lepańskie białe wino, z natury lekkie, niespodziewanie okazuje nadzwyczajną moc, to dlatego, że tajemnicze aromaty przedostają się z winnic francuskich do pobliskiej Hiszpanii, gdyż sprzedawcom z City nie przyszłoby do głowy mieszać gatunkow.

Tak, Geoffrey Chaucer znał się na winie i nic dziwnego, bo jego ojciec, John, obywatel londyńskiej City, był winiarzem. Może nawet syn podpatrzył ojca, jak stosował ówczesne praktyki kupieckie mieszania win. John Chaucer był człowiekiem zamożnym: miał przy Upper Thames Street dom, który stał tam, gdzie teraz krzyżuje się ta ulica z linią South-Eastern Railway, biegnącą od Cannon Street Station.

Kiedy Geoffrey urodził się (około 1340 r.), dumny tata-winiarz zapewne upoił swych sąsiadów produktami winnic lepeńskich, roszelskich i bordoskich, ale nie mógł się domyśleć, że malec wyrośnie na genialnego poetę, ojca angielskiej literatury.

W Londynie, a także w Oksford i w Cambridge, mówiono wtedy dialektem wschodnich Midlandów. Mówiono nim i na dworze królewskim, który ciągle przebywał między tymi trzema miastami i stąd powstała nazwa języka — King's English. Za czasów młodości Chaucera King's English był dialektem ubogim, pogardzanym przez artystów. William Langland swój słynny poemat „The Vision of William concernig Piers the Plowman" napisał w dialekcie zachodnio-midlandzkim, a anonim, tworząc zasłużenie słynny cykl, składający się z poematów „Sir Gawayn and the Grene Knyght", „Pearl", „Purity" i „Patience", posługiwał się dialektem Lancashire, z którego, gdyby nie Chaucer, rozwinąłby się nowoczesny angielski i Anglicy mówiliby dziś „treen" (zamiast „trees"), „worden" (words), „honden" (hands), „sistren" (sisters), „housen" (houses), etc.

W swych czasach jeden tylko Chaucer brał na serio twórczość poetycką. Nie wiemy, jak zdobywał technikę pisarską i kulturę, jak się przygotowywał do pisania dojrzałej poezji. Fakt, że wybrał niepopularny, pogardzany, ale swój własny dialekt jako medium, dowodzi jak bardzo był świadom swych celów. Nie chciał moralizować, ulepszać świata ani ludzi, filozofować — chciał pisać poezję. Nie dał się zwieść renomą ani łaciny ani francuskiego, ani angielskich dialektów bogatych już w literaturę. Swego języka nie usiłował oczyszczać nawet z południowych i kentowskich naleciałości i stworzył dzieło, któremu nie dorównał nikt aż do połowy XVI w., do Spensera.

Na jego twórczość wpłynęła znajomość Francji i Włoch. Do Francji pojechał jako żołnierz Edwarda III (wojna stuletnia) i dostał się do niewoli, skąd król go wykupił za £ 16. Później wyjechał do Włoch w jakiejś tajnej misji królewskiej. Z podróży przywiózł znajomość literatury włoskiej, miłość do Dantego i zapas romańskich słów, którymi wzbogacił swój język ojczysty.

Przeogromnie wzbogacił również swą rodzimą wersyfikację. Z tradycyjnych form używał tylko 8-zgłoskowca. Do tego dodał 13 inowacji metrycznych, z których najważniejsza to 10-zgłoskowiec (francuski, nieco zmodyfikowany pod wpływem włoskim), z którego później miał powstać „heroic couplet" (rymowany aabbcc itd., używany przez Pope'a, Johnsona, Goldsmitha i in.). Z tegoż 10-zgłoskowca stworzył także 7-wierszową zwrotkę (ababbcc), do dziś nazywaną jego imieniem, oraz angielskie formy virelais, ronda i ballady. Gdy w 150 lat później poeci elżbietańscy udoskonalili wiersz biały, poezja angielska posiadła narzędzia do wyrażania wszystkiego, co poezją wyrazić można.

Najlepsze zbiorowe wydanie dzieł Chaucera (W. W. Skeats, Oxford 1894-7) obejmuje 7 tomów. Artystyczne wyżyny Chaucer osiągnął jednak tylko w poezji. A koroną jego poezji to „Opowieści kanterburyjskie", „The Canterbury Tales".

Od r. 1385 Chaucer mieszkał w Greenwich, gdzie miał swój dom. Greenwich leżał na szlaku pielgrzymek do Canterbury, do grobu św. Tomasza Becketa, zamordowanego w r. 1170 przez siepaczy Henryka II. (Później protestanci wydobyli szczątki męczennika i spalili je.) Widok najróżniejszych ludzi ożywionych jednym pragnieniem, odczuwających już wspólnotę narodową, poruszył go i natchnął pomysłem opisania pielgrzymki. Jako realista, do Canterbury wybrał się sam, by „uchwycić rzeczywistość na gorąco". Powróciwszy zabrał się do utworu epickiego, który po latach pracy stał się arcydziełem.

W przydrożnej gospodzie „The Tabard", w pobliżu klasowo nieco gorszej karczmy „The Bell" w Southwark, przystaje grupa pielgrzymów na nocleg. Dla uprzyjemnienia sobie chwili wypoczynku w podróży pielgrzymi postanawiają opowiadać sobie każdy cztery opowieści, dwie od razu, a dwie w drodze powrotnej. Najlepszemu gawędziarzowi współtowarzysze zafundują kolację. Dzieło miał zamykać opis biesiady (i może epilog). Chaucer nie skończył utworu — z około 120 zamierzonych opowieści mamy tylko 24, z tego dwie prozą, a z pozostałych — kilka niekompletnych.

Podobieństwo tej konstrukcji do „Dekamerona" Boccaccia jest tylko powierzchowne. Nie ma żadnych dowodów na to, że Chaucer w ogóle znał „Dekamerona". A wyższość Chaucera nad Boccacciem uwidoczni się, gdy sobie uprzytomnimy, że bohaterowie „Dekamerona" pochodzą wyłącznie z jednej, tzw. wyższej klasy, podczas gdy postacie „Opowieści kanterburyjskich" to: rycerz i młynarz, lekarz, prawnik i karczmarz, ksiądz i tkacz, zakonnice, rolnik i sam autor — poeta. Każdy z tych ludzi naprawdę żyje, Chaucer ani na chwilę nie zapomina, że opowiadania snują pielgrzymi w podróży. Nie ma tu śladu konwenansu, nie ma sztucznej typizacji. I dlatego Chaucera trzeba uznać za realistę i to wielkiego, to jest artystę, który swą fikcję osadza w znanej sobie, mało! — przestudiowanej rzeczywistości, a równocześnie obdarza swych ludzi cechami niezmiennymi, gorącymi, tak wtedy, jak i dziś, jak zawsze.

„W całym piśmiennictwie — pisze Coghill w przedmowie do swego tłumaczenia — nie ma nic, co by zbliżało się do Prologu (do „Canterbury Tales") albo go przypominało. Jest to treściwy portret całego narodu: wysoko i nisko urodzonych, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, świeckich i duchownych, uczonych i prostaków, łobuzów i czcigodnych, z lądu i z morza, z miasta i ze wsi". Z dzieła Chaucera możemy czerpać nieprzebrane skarby średniowiecznych przysłów, zwyczajów, obyczajów, wierzeń, całego życia w chwili, gdy nowe — Renesans — już przyszło.

Dokonane przez Nevilla Coghilla tłumaczenie na nowoczesny język angielski zachowuje wersyfikację oryginału. Mamy tu i „heroic couplet", i „Chaucerian stanza" (ababbcc). W pożytecznej glossie tłumacz objaśnia aluzje do ówczesnych stosunków, co ogromnie ułatwia wczucie się w ducha czasu. Całość podzielona jest na części od A do I, tak bowiem oznaczono 9 pierwopisów. Tłumacz oparł się na wyżej wspomnianym wydaniu krytycznym W. W. Skeata. Idiomy i niektóre nazwy, np. zawodów, zmodernizował znakomicie. W przedmowie porównuje oryginał:

Love is a gretter lawe, by my pan,
Than may be yeve to any man.

ze swym przekładem:

Love is a low unto itself. My hat!
What earthly man can have more law than that?

i trzeba przyznać, że tłumaczenie jest tu znakomite, chociaż dalekie od dosłowności. Ale...

Oto w oryginale cytat, który przytoczyłem po polsku na samym początku:

Now kepe yow fro the whyte and fro the rede,
And namely fro the whyte wyn of Lepe,
That is to selle in Fish-strete or in Chepe.
This wyn of Spayne crepeth subtilly
In othere wynes, growing faste by,
Of which ther ryseth swich fumositee,
That whan a man hath dronken draughtes three,
And weneth that he be at hoom in Chepe,
He is in Spayne, right at the toune of Lepe,
Nat at the Rochel, ne at Burdeux toun;

A w tłumaczeniu Coghilla:

Keep clear of wine, I tell you, white or red,
Especially Spanish wines which they provide
And have on sale in Fish Street and Cheapside.
That wine mysteriously finds its way
To mix itself with others — shall we say
Spontaneously? — that grow in neighbouring regions.
Out of the mixture fumes arise in legions,
So when a man has had a drink or two
Though he may think he is at home with you
In Cheapside, I assure you he's in Spain
Where it is made, at Lepé I maintain,
Not even at Bordeaux.

Jak widzimy, wiersz Chaucera, przy całej swej płynności i rytmice, które udało się tłumaczowi uchwycić, jest jak gdyby gęstszy, więcej skondensowany — więcej mówi.

Te same ułomności przekładu silnie uwydatniają się w pierwszych wierszach Prologu, w Anglii równie słynnych jak inwokacja w „Panu Tadeuszu":

What that Aprille with his shoures sote
The droghte of Marche hath perced to the rote,
And bathed every veyne in swich licour,
Of which vertu engendred is the flour;
Whan Zephirus eek with his swete breeth
Inspired hath in every holt and heeth
The tendre croppes, and the yonge sonne
Hath in the Ram his halfe cours y-ronne,
And smale fowles maken melodye,...

(Chaucer)

When the sweet showers of April fall and shoot
Down through the drought of March to pierce the root,
Bathing every vein in liquid power
From which there springs the engendering of the flower,
When also Zephyrus with his sweet breath
Exhales an air in every grove and heath
Upon the tender shoots, and the young sun
His half-course in the sign of the Ram has run,
And the small fowl are making melody...

(Coghill)

(Dokończenie na str. 4)

*) **Geoffrey Chaucer THE CANTERBURY TALES translated into Modern English by Nevill Coghill, Penguin Books, 5/-.**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 8 lutego 1953 r.

NOWE KSIĄŻKI

„NA POLSKIM SZLAKU"

Czytając książkę generała Klemensa Rudnickiego p.t. „Na polskim szlaku"*) czytelnik zastanawia się w jakim celu autor wydał drukiem ów pamiętnik. Pisarzem z całą pewnością gen. Rudnicki nie jest. Jak większość ludzi nienawykłych do pióra a chwytających za nie, wpada co chwila w „literaturę": w religijne i patriotyczne deklamacje, w „Wieczory pod lipą" a nade wszystko w Sienkiewicza.

W kampanii wrześniowej odegrał podpułkownik Rudnicki rolę dalszorzędną, w zawiązkach ruchu podziemnego drugorzędną, w organizacji armii polskiej w Rosji pośrednią między drugo a trzeciorzędną. Gdyby pamiętnik „Na polskim szlaku" wyszedł przed książkami gen. Andersa, Czapskiego, Rudzkiej, Krakowieckiego, Skrzypka, Kwapińskiego, Grubińskiego, Witlina, Stypułkowskiego itd., byłby niewątpliwie pierwszorzędną relacją, ale w drugiej połowie roku 1952 stanowi już tylko przyczynek.

W miarę czytania książki jednak nabiera się przekonania, że jest to jedna z najwartościowszych relacji o Rosji i że mimo tynku „literackiego" jest to także jeden z najciekawszych pamiętników. Z tekstu książki wyłania się bowiem osobowość autora, interesująca nie przez rolę, jaką spełniał, lecz przez pokrój i format jego psychiki. Dlatego zapewne bezwiednie — kładąc nacisk raczej na dokumentację, a nie na swobodny opis — gen. Rudnicki dał stylowe dzieło piśmiennictwa. Najlepszą częścią jego pamiętnika są rozdziały o więzieniach sowieckich i życiu na zsyłce, kiedy autor zsiada z ułańskiego siodła morału i staje się szarym, zwykłym człowiekiem, „starikiem", obnażonym ze wszystkich przypadkowości stanu i zawodu. Książka gen. Rudnickiego jest najbardziej ludzka ze wszystkich pamiętników pióra dowódców i polityków.

Siodło ułańskie zresztą nie wykrzywiło ocen gen. Rudnickiego. „Na polskim szlaku" jest pamiętnikiem wyjątkowej szczerości i odważnej prawdomówności. Wybitny generał nie waha się poddać surowej krytyce polskiej doktryny operacyjnej, która spowodowała katastrofę wrześniową a obraz kampanii pod jego piórem jest taki, jakim był w rzeczywistości: bezplanową i nieprzygotowaną improwizacją, zmarnotrawieniem wspaniałego ducha wojska i żołnierza. Dowódca 9 Pułku Ułanów, aczkolwiek znalazł się we wrześniu w samym gąszczu walk, nie uległ pokusie snucia legendy i jak prawdziwy żołnierz wyznaje odważnie: „Faktycznie więc kawaleria większej roli w kampanii nie odegrała..."

Miłość prawdy nie opuszcza pióra gen. Rudnickiego ani na chwilę. Jeśli jakieś zdanie wygląda na przesadę, wynika to raczej z zamierzeń literackich, a nie pamiętnikarskich. Miłość prawdy, to nie wszystko. Gen. Rudnicki dziedziczy ją we krwi wraz z innymi zaletami ducha oraz tradycji polskiej i rodzinnej. Książka jego jest doskonałym świadectwem polskiej, a więc chrześcijańskiej kultury. Poglądy, reakcje i oceny Rudnickiego są wprost testami katolickiego pojmowania życia. Generał dziwi się, że Rosjanie po półtorarocznym więzieniu skazali go tylko na wolną zsyłkę do Kirowa. Wydaje się, że nawet w Sowietach ludzie prawdziwie chrześcijańscy budzą czasem szacunek.

Chyba w żadnym pamiętniku z Sowietów nie znalazło się tyle bezstronnych opinii o tamtejszych ludziach i systemie, dowodnie wykazujących, że cierpią tam na równi wszyscy: zarówno domniemani wrogowie Związku, jak i zapracowani na śmierć jego obywatele. Rudnicki nie nadużywa ciemnych barw. Jego książka jest pastelowa. Raz po raz wypowiada zdania pełne pokory, jak to: „Modlę się teraz często, ale o nic Boga nie proszę — chwalę Go tylko. Jest mi zupełnie dobrze". (Str. 113). Nie omija nigdy sposobności, jeśli może coś przychylnego powiedzieć o kimś lub o czymś w Związku Sowieckim.

A jednak — właśnie dzięki kryształowej prawdomówności i unikaniu przesady — obraz Rosji jest w książce gen. Rudnickiego wstrząsający. Rudnicki nie zaciska ani raz w swej książce pięści, ale czytelnik czyta ją nie rozluźniając zaciśniętych pięści ani na chwilę. Chyba wtedy tylko, gdy na scenę wchodzą serdeczne polskie złodziejaszki i batiary. Ich sylwetki kreśli Rudnicki z artystycznym zacięciem.

Odgadywacz snów z dniepropietrowskiej celi odgadł równocześnie profesję Klemensa Rudnickiego: „Pan wcale nie jest kupcem, ale oficerem". Tytuł książki „Na polskim szlaku" jest właściwie banalny. Ale jest to równocześnie jedyny możliwy i najbardziej trafny tytuł dla tej szlachetnej i pełnej godności książki. Bez trudu można odgadnąć, kim jest jej autor. Ktoś nazwał książkę Rudnickiego „pańską i rycerską". Nie, to jest książka polska i katolicka.

Jan Bielatowicz

P.s. Książka wydana jest niestarannie: na lichym papierze gazetowym i po niedbałej korekcie.

*) **Generał Klemens Rudnicki NA POLSKIM SZLAKU. (Wspomnienia z lat 1939-1947). Gryf Publications Ltd. London, 1952. Stron 208.**

Nowość !

CENA 15/-.

Do nabycia:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS,

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

NOWA KSIĄŻKA GIERTYCHA

Ogłoszona została przed kilku tygodniami zapowiedź ukazania się nowej książki Jędrzeja Giertycha p.t. „O POLITYCE OLSZOWSKIEGO I JANIE SOBIESKIM".

Książka ta stanowi zamkniętą w sobie całość, wchodzącą w skład cyklu „Polityka polska w dziejach Europy".

Autor pisze o tej książce w ogłoszonym prospekcie:

„Książka ta stanowi rezultat moich wieloletnich dociekań, przedsięwziętych pod politycznym kątem widzenia, nad jednym z najbardziej zwrotnych i brzemiennych w skutki okresów naszych dziejów, mianowicie nad okresem panowania Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego. Myślę, że nie popełnię przesady twierdząc, iż rzuca ona zupełnie nowe światło na nasze dzieje przedrozbiorowe, sięgając w sposób odmienny od dotychczas przyjętych pojęć do źródeł i przyczyn naszej historycznej katastrofy oraz wykazując, że dzieje Polski w dużej części epoki królów elekcyjnych były z jednej strony większe, wspanialsze, zdradzające więcej ducha obywatelskiego, narodowej dyscypliny i politycznego rozumu, a wreszcie uwieńczone większymi, choć później zmarnowanymi osiągnięciami i zwycięstwami — a z drugiej strony bardziej tragiczne — niż sądzono dotychczas. Myślę również, że książka ta dostarczy uderzająco dużo materiału do przemyśleń, mogących się przydać w ocenie epoki dzisiejszej."

Książka, która liczyć będzie około 500 stron, wydana będzie w drodze przedpłaty. Cena jej w przedpłacie wynosi 12 i pół szylinga wzgl. 1.80 dolara amerykańskiego. (Po wydrukowaniu, jej cena sprzedażna wynosić będzie 21 szylingów względnie 3 dolary).

Jak nas autor zawiadamia, do obecnej chwili zgłoszono już na jego ręce 223 przedpłaty. Przedpłata w dalszym ciągu trwa.

Przedpłaty nadsyłać można wprost do autora (16, Belmont Road, Londyn, N. 15), lub pod adresami zagranicznymi, podanymi w prospekcie. Autor wysyła prospekty na każde żądanie.

Nowością graficzną i wydawniczą, jaką Giertych przy pomocy tej książki wprowadza do piśmiennictwa emigracyjnego, jest niestosowana dotychczas przez polski ruch wydawniczy szata graficzna, jaką jest t.zw. półdruk, t.j. przygotowywanie matryc maszyną Varityper (elektryczna maszyna do pisania o wymiennych czcionkach bardzo małego formatu, imitujących druk) i odbijanie ich sposobem litograficznym.

Metoda ta jest już w świecie szeroko stosowana. N.p. wydawane są przy jej pomocy teksty staroceltyckie w Irlandii, a niektóre uniwersytety amerykańskie wydają nią liczne, specjalne wydawnictwa naukowe o małych nakładach.

Graficznie książka wydana tą metodą przedstawia się niewątpliwie nieco gorzej od wydanej normalnym drukiem, ma jednak tę zaletę, że może być wyprodukowana tanio, a jednak jest książką, a nie skryptem powielanym. Jak Giertych oblicza, może on wydać swą książkę bez deficytu już przy 400 egzemplarzach nakładu, pod warunkiem, że sam ją na Varityperze przepisze, t.j. wykona pracę zecera. (W danym wypadku, w jednej osobie łączy on funkcje autora, wydawcy i zecera).

Metoda półdruku wydaje się szczególnie dostosowana do potrzeb emigracji polskiej, jako społeczności szczupłej liczebnie, a więc mogącej sobie pozwolić tylko na małe nakłady książek. Jest rzeczą także i z ogólnego punktu widzenia ciekawą, jak się eksperyment Giertycha powiedzie.

EDWARD E. CHUDZYŃSKI

DERWISZ PIJANY

Płyniemy w nieba fiolecie,
W pirackim cieniu czarnych żagli.
Przychodźcie — którzy przeminiecie!
Dołączcie — których przestrzeń nagli!

Idą korabie, korowody;
Oplotły się linami wkoło...
Pomogą sieć wyciągać z wody
Dwunastu bosym apostołom.

Może znajdziemy, odszukamy
Śmiertelną, smutnych ludzi ciszę,
Kiedy nas tęsknie zadumanych
Wiatr wśród pokładów ukołysze.

Dołączcie wy, co przeminiecie.
Bywajcie — których przestrzeń nagli!
Może znajdziemy we wszechświecie
Port dla pirackich, czarnych żagli.

Zbudźcie się, tęsknie zadumani!
Sztormowa wachta! W dzwony [dzwońcie!
Chrystus wędruje nad falami!
Gdzie? Nie wiem. Gdzieś na horyzoncie.

Zbłąkanym cóż? Kotwica nieba.
I jasny strzęp gwiezdnego szlaku.
Płyńmy! To nic, że nocą śpiewa
Derwisz pijany na Zodiaku.

Edward E. Chudzyński

ZAPISKI LONDYŃSKIE

„WIECZERZE BURNSA"

Corocznie w dniu 25 stycznia cała Szkocja, a także skupienia szkockie za granicą, obchodzą rocznicę urodzin Roberta Burnsa (1759-1796), największego narodowego poety szkockiego, autora ponad stu pieśni, napisanych dla zbioru „The Melodies of Scotland".

Głównym, często jedynym punktem tych obchodów są tzw. „Burns suppers", na które składa się przede wszystkim potrawka z wnętrzności baranich, zwana „haggis". Wieczerze te odbywają się wedle pewnego tradycyjnego rytuału. Do pokoju stołowego wkracza uroczyście kucharz, niosąc podniesiony do góry półmisek z „haggis", a poprzedza go szkocki „piper" (kobziarz). Dopiero od niedawna zakradł się dodatkowy zwyczaj, że przed kucharzem wchodzi inny „dostojnik", wymachujący butelką whisky. Mimo protestu purystów, strzegących tradycyj, zwyczaj ten rozpowszechnił się bardzo szybko.

Po spożyciu „haggis" podawane są inne potrawy, potem zaś przychodzą przemówienia i toast ku czci „nieśmiertelnej pamięci Roberta Burnsa". Osoba tego poety jest też przedmiotem wszystkich, często nader wymyślnych przemówień.

SHERLOCK HOLMES BOHATEREM BALETU

W czasie Festiwalu Brytyjskiego w domu przy Baker Street 221b, gdzie mieszkać miał słynny detektyw Sherlock Holmes, otwarta została wystawa mu poświęcona, która cieszyła się dużą frekwencją publiczności. Obecnie kult Sherlocka Holmesa, postaci będącej w całości wytworem pisarskiej wyobraźni Conan Doyle'a, znalazł jeszcze bardziej niezwykły wyraz. Skomponowany został mianowicie specjalny balet pt. „The Great Detective", którego bohaterami są Sherlock Holmes i inne osoby z opowiadań z nim związanych. Muzykę stworzył Richard Arnell, stronę choreograficzną opracowała Margaret Dale. Przedstawienie wykonał Sadler's Wells Ballet.

Krytycy dosyć surowo potraktowali tę baletową inscenizację dziejów „wielkiego detektywa". Zdaniem R. Buckle'a, recenzenta „Sunday Times", opowiadania o Sherlocku Holmesie czytane są dzisiaj głównie dlatego, że wywołują nostalgiczny obraz Londynu z końca ubiegłego stulecia: Londynu oświetlonego gazem, osnutego mgłą (czyżby teraz tego było brak?), w którym dorożki krążyły między marmurowymi klubami na Pall Mall, a willami na Camberwellu, obrośniętymi pnącą roślinnością. Otóż balet niczego z tej atmosfery nie daje.

LEKARZE I DENTYŚCI NA CZELE

Statystyka wolnych zawodów w W. Brytanii wykazuje, że najliczniejszą grupę stanowią lekarze i dentyści; jest ich łącznie 607.000. Grupę najmniejszą stanowią duchowni wszystkich wyznań, których jest razem 26.000.

UKONSTYTUOWANIE SIĘ WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

W dniu 12 stycznia 1953 odbyło się w Londynie konstytucyjne zebranie Wydziału Wykonawczego Związku Dziennikarzy R. P. Zebraniu przewodniczył wybrany przez ostatnie Walne Zebranie Związku, prezes Zarządu Głównego, red. Bolesław Wierzbiański.

Dokonano następującego podziału funkcji: wiceprezesi — Aleksander Bregman, Tadeusz Horko, Paweł Hęciak, dr Ludwik Rubel; sekretarz — Jan Walewski, skarbnik — Tadeusz Borowicz, przew. komisji imprez: Zbigniew Racięski, członkowie Wydziału: J. Bielatowicz, Z. Jordan, H. Malanowicz, R. Piestrzyński, D. Żarnowski.

Wydział Wykonawczy, uzupełniony przez prezesów Syndykatów Związku oraz po jednym delegacie z każdego Syndykatu, stanowi Zarząd Główny Związku Dziennikarzy R. P. Prezesi Syndykatów są automatycznie wiceprezesami Zarządu Głównego Związku.

Z TEKI PLASTYKÓW

JERZY FACZYŃSKI

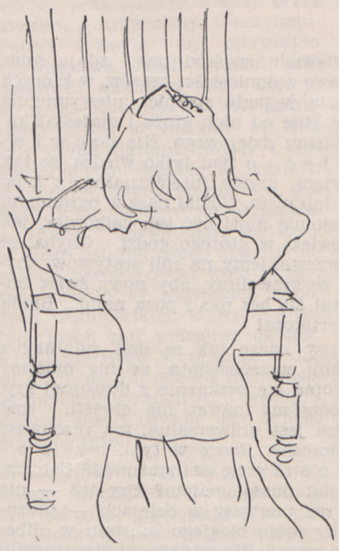

Jerzy Karol Faczyński, malarz, architekt i poeta, urodził się w r. 1917. Pochodzi z rodziny artystów. Pierwsze studia malarskie pobierał w Bydgoszczy od swego ojca, prof. Mariana Faczyńskiego, ucznia Falata i Axentowicza.

Po maturze udał się na studia do Warszawy. Studiował architekturę na politechnice oraz malarstwo u prof. L. Dołżyckiego i Z. Kamińskiego. Studia architektury ukończył na uniwersytecie w Liverpool w r. 1944, w Polskiej Szkole Architektury.

Wydał książkę rysunków p. t. „Studies in Polish Architecture". Wykonał prace architektoniczne i graficzne na Festival of Britain 1951, na wystawę Ideal Home itd.

Projektował dekoracje teatralne i do baletu filmowego.

Prace malarskie wystawiał w: National Gallery of Scotland, Royal Scottish Academy, Leicester Galleries London, British Council Exhibition, Corporation Art Gallery w Liverpool i w wielu innych. Obrazy Faczyńskiego znajdują się w zbiorach prywatnych w Anglii, Szkocji, Kanadzie i Brazylii. W styczniu b. r. otwarta była wystawa prac malarskich i rysunków Faczyńskiego w Londynie.

Przez pięć lat artysta prowadził rysunek odręczny w Polskiej Szkole Architektury, Polish University College w Londynie, obecnie jest nauczycielem w L. C. C., Hammersmith School of Building, Art and Crafts.

Jerzy Faczyński ogłasza również wiersze w polskich czasopismach literackich.

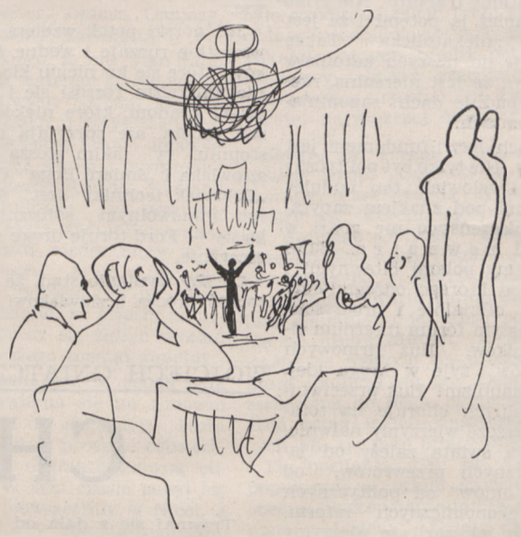

CHAUCER NOWOCZESNY

(Dokończenie ze str. 3)

Upersonifikowanie kwietnia (i przez analogię — również marca) u Chaucera wyraźnie przewyższa wersję Coghilla. Warto zanotować, że autor przekładu zadał sobie tutaj trud rymowania tych samych wyrazów co w oryginale.

Nie można było jednak się spodziewać, że przekład dorówna artystycznie oryginałowi. Chaucer był geniuszem, a geniusze nie rodzą się na kamieniu. Lecz przekład Coghilla, utalentowanego uczonego, który w swej pracy opierał się na przekładach tak znakomitych poetów jak Dryden, Pope i Wordworth, dzięki swej bezpośredniości i zrozumieniu piękna oryginału zbliża czytelnika XX wieku do uroczego arcydzieła średniowiecza. Sądzę, że kto przeczyta Coghilla, nie spocznie, aż przebije się przez archaizmy Chaucera. (N. b. wydaje mi się, że Polakowi znającemu język angielski łatwiej zrozumieć Chaucera niż przeciętnemu Anglikowi.) „Chanson de Roland", „Boska Komedia" i „Canzoniere" Petrarki — to poezja szlachetniejsza i może bardziej poetycka, tym bardziej, że Chaucera pasjonowała komedia a nie tragedia ludzka. Lecz już w XIV w., w dziele właśnie Chaucera, odnajdujemy to, co charakterystyczne dla całego piśmiennictwa angielskiego: miłość bogactwa życia, przyjazne wyrozumienie dla ekscentryczności, świadomość, że każdy człowiek jest istotą niepowtarzalną.

Wojciech Gniatczyński

NAKŁADEM KAT. OŚRODKA WYD. VERITAS wyszła z druku stylowa opowieść

Juliusza ZEYERA

WYGRANA MIŁOŚĆ

Przekład M. Wolskiej

Ilustracje L. Pawlikowskiej

Cena 5/-

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leeandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA, miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c Lund Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83, East 22-nd Street Bayonne, N.Y. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.